

Tadeusz Jaroszyński

ZMORA

Nowele

ZMORA.

I.

Umyślnie nie kładę tu nawet imion ludzi, ani nie określam bliżej miejsca i czasu straszliwych wydarzeń, jakich byli aktorami, ażeby najmniejszym przypomnieniem identyczności nie wywoływać zgrozy wśród tych, którzy ich znali osobiście. Nie chciałbym też ściągać odjum na krewnych i powinowatych, jakich niewątpliwie mieć muszą po świecie szerokim. Zresztą, rzecz sama jest zbyt ponura i okropna. Może nie powinienem przerażać opowiadaniem tej historii, której motywy w swym tragizmie są nazbyt jaskrawe dla

nerwów ludzi współczesnych. Może należało zabrać ze sobą
do grobu tajemnicę,
którą posiadam za sprawą przypadku, czy też raczej złośliwej
fatalności, skoro
udawało się tym nieszczęśnikom ukrywać swoją zbrodnię aż
do grobu i... za
grób...
Niechby zapadła raz na zawsze w mroki zapomnienia z całą
swoją ohydą.

Tak też miałem uczynić. Przed nikim prócz jednego
mimowolnego aktora tych
zdarzeń, dotąd słowem jednym nie zdradziłem się, że wiem
cośkolwiek w sprawie,
która przed laty emocjonowała do najwyższego stopnia opinię
publiczną. Owszem
sam starałem się o wszystkim zapomnieć; starałem się
wyrwać z pamięci
świadomość okropnego faktu, który tak potężnie wstrząsnął
całym moim jestestwem
i potem długo jeszcze niby koszmar męczący niepokoił mnie
po nocach upiornymi
widziadłami. Jeżeli teraz jednak odważam się na
rozgrzebywanie tak głębokich
pokładów wspomnienia i wywlekam na światło dnia białego
ponurą tę sprawę, to
tylko dlatego, że tkwi w niej nauka doniosłego znaczenia.
Tkwi w niej mianowicie
strasliwa odpowiedź tym wszystkim esprits forts, co
zaufawszy własnemu rozumowi

i woli przechwalają się bezwzględny panowaniem nad mocą przyrodzonych nakazów wewnątrznych. Tkwi w tem przerażająca nauka dla tych wszystkich refrakterów od tak zwanej pogardliwie moralności stadowej, którzy w szatańskiej pysze, ufni w potęgę swej indywidualności, dowodzą, że prostem, praktycznym obliczeniem strat i korzyści mogą wytknąć sobie taką, a nie inną linię konduity, bez względu na odwieczne „przesady i uprzedzenia”. Tamci oboje niezaprzeczalnie należeli do kategorii ludzi, których słusznie, czy niesłusznie nazywamy „esprits forts”.

Oh, doprawdy, było coś nieludzkiego, żeby nie powiedzieć, nadludzkiego w tem ich absolutnem zaprzeczeniu wszelkich norm etyki ogólnej. — Mój panie — mówił mi on, kiedy w straszliwej walce ze sobą wahałem się z ostatecznymi rewelacjami — mój panie, niepotrzebnie pan robisz sobie ze mną tyle ceremonji. Nie należę do ludzi, którzy dźwigają na sobie wiekowe obarczenia dziedzicznej nietykalności honorowej. Jako syn złodzieja i prostytutki nie mam w swej organizacji psychicznej miejsca na bezmyślne odruchy podobnej natury. Z tej strony jestem najzupełniej uodporniony, dlatego też wszelkie przypuszczalne powikłania tragiczne z góry są wykluczone.

— Ha, ha, — śmiał się — bądź pan bez obawy — ludzie
mojej kategorii nigdy nie
stają się igraszką ślepego fatum. Potrafię zapanować nad
każdą sytuacją i pójść
drogą, jaką mi wskaże zdrowy rozsądek. Nie panie, nie
zagram przed panem roli
klasycznego bohatera — jestem kategorycznym
zaprzeczeniem wszelkiego klasycyzmu.
Takie nagie, surowe, bezwzględne postawienie sprawy przejęło
mnie dreszczem.
Uczułem mróz w kościach, ciarki przeszły mi po mleczu
pacierzowym. Sądziłem
narazie, że jest to efekt niezwykłości zjawiska, wobec jakiego
niespodziewanie
się znalazłem, że jest to poprostu objaw ostrego zdumienia,
jakie odczuwamy w
chwilach, kiedy nieprzygotowani stajemy nagle oko w oko z
sensacją

niespodziewaną. Było to jednak coś wręcz przeciwnego. Było
to mianowicie
nieuświadomione przerażenie wobec rzeczy fatalnej.
Zrozumiałem to, kiedy ujrzałem ich trupy straszliwe za szklaną
ścianą Morgi
paryskiej, ułożone w szeregu między bezimiennymi ofiarami
nędzy i zbrodni
wielkowiejskiej...
Musiałem wymienić Paryż, jako miejsce, gdzie rozegrały się
końcowe sceny
tragedji. Nie sądzę jednak, ażebym popełnił przez to
niedyskrecję.

Zapewne, gdyby ktoś miał cierpliwość przejrzeć akta paryskiej prefektury, a właściwie jej wydziału, zwanego Sûreté, z owych lat kilkunastu niewątpliwie ze szczegółów na jakie w ciągu opowiadania wskazać będę zmuszony — łatwo poznałby sprawę, o której mowa, zwłaszcza, że szczegóły te bynajmniej do najpospolitszych nie należą. Niemniej przecież najprzenikliwszy agent śledczy z danych, jakie tam znajdzie, rzeczywistych nazwisk bohaterów, poznać jeszcze nie zdoła.

Stało się bowiem, że pomimo całej sprawności policji francuskiej, pogrzebiono ich ciała bez ostatecznego ustalenia identyczności. Denatom, którzy zapewne pragnęli co do osób swoich zachować jaknajgłębszą tajemnicę i po śmierci, udało się to zupełnie, dzięki tej, jak mniemam okoliczności, iż do Paryża przybyli z Ameryki Południowej i zamieszkali pod przybranym nazwiskiem w Passy, w jednej z najbardziej arystokratycznych dzielnic

miasta, gdzie nikogo z dawnych znajomych nie spotykali. Sąsiedzi, wiedząc jedynie o ostatnim miejscu pobytu, mieli ich za Brazylijczyków, czy innych mieszkańców Ameryki Południowej. Skoro więc po wypadku należało określić

osobistości ofiar ewentualnego mordu, czy samobójstwa,
wszelkie poszukiwania
zwrócono w tym kierunku. Oczywiście nie dały one i dać nie
mogły rezultatów
pozytywnych... Gnani trwogą niepojętą, chłostani karzącymi
biczami Eumenid,
przebiegali bez wytchnienia, jak para żydów wiecznych
tułaczy, najludniejsze
stolice świata i najbardziej bezludne pustynie. Cóż stąd, że
ostatnio przybywali
z Rio de Janeiro, skoro niema żadnej pewności, iż zatrzymali
się tam bodaj na
dzień jeden, że pozwolili się poznać komukolwiek z
mieszkańców tego miasta.
Kiedy więc ciała wystawiono w Mordze dla rozpoznania,
niewątpliwie, w skutek
rozbudzonej przez pisma ciekawości, przed straszliwą szklaną
ścianą tego
ponurego przybytku, przeciągnąć musiały liczne izeszce,
bawiących w Paryżu
obywateli obu Ameryk, ale ani jednemu z członków polskiej
kolonji nie przyszło
na myśl w danym mianowicie wypadku szukać tam swoich
znajomych.
Zmyliło to całkowicie kierunek dochodzenia. Policja była
bezsilna wobec tego w
założeniu już fałszywego punktu wyjścia.
Co do mnie, to przyznaję, drżałem, ażeby ktoś z Polaków,
mieszkających zwłaszcza
w dziel-

nicy łacińskiej, nie zablądził przypadkiem do przeklętego miejsca. Swego czasu zbyt byli w "quar-tier" popularni, ażeby ich nie znano, bodaj z widzenia.

Rozumiałem, że powinni odnieść w cienie niebytu tajemnicę nieprzeniknioną. Gdyby ich poznano, dotarłoby już niezawodnie do dna okropnej treści.

Sam jednak mimo wszystko, nie mogłem się oprzeć pokusie, ażeby na własne oczy nie ujrzeć tego, co uważałem za rzecz konieczną.

Los złośliwy związał mnie fatalistycznie z tą sprawą.

Właśnie na kilka dni przed wypadkiem byłem u nich osobiście. Na zasadzie

dawniejszych pełnomocnictw, otrzymałem dwanaście tysięcy rubli, stanowiących

resztę majątku, jaki kobieta tawyprocesowała od krewnych, mieszkających

przeważnie w południowych guberniach Rosji. Kiedy przed kilku laty wyjeżdżałem w

tamte strony, poleciła mi ona podniesienie tej sumy, na co otrzymałem

najformalniej zalegalizowaną plenipotencję. Ponieważ jednak suma była chwilowo

zakwestjonowana, nie mogłem jej odebrać natychmiast, odesłano mi ją do Paryża w

kilka miesięcy potem, ale już po ich zniknięciu z miasta bez śladu.

Znalazłem się doprawdy w nader trudnym położeniu. Nie wiedziałem co mam z tym

fantem począć. Chciałem już z powrotem odesłać pieniądze, skąd przyszły, aż

pewnego wieczoru wpada do mnie

niespodziewanie on, zmieniony do niepoznania, bo młody zarost, niegolony oddawna, nadawał jego twarzy wyraz, jakiego przedtem nie znałem.

Wydała mi się ta twarz dziwnie dzika i surowa.

— Miałem wiadomość — zaczął, że jej sumę dawno już wysłano dla nas na pańskie ręce.

Odczułem w tonie jakby podejrzliwość. Ubodło mnie to do żywego. Odparłem ostro:

— Pieniądze są — bynajmniej nie miałem zamiaru państwa wywłaszczać... nie wiedziałem jednak, gdzie ich szukać.

— Ach, są pieniądze! — krzyknął uradowany.— Przepraszam pana. Przyznaję — zełgałem. Nie miałem znikąd żadnej wiadomości, z nikim korespondencji nie utrzymujemy, z nikim absolutnie nie komunikujemy się... A pieniądze te są strasznie.. strasznie potrzebne! Podróżowaliśmy... Wydało się moc grosza...

Doskonale!

Wyciągnął rękę, jakby przypuszczał, że mu natychmiast całą należność wyliczę.

Oczywiście, nie mogłem sumy takiej trzymać w domu.

Złożyłem ją do banku, więc

dopiero nazajutrz mógłbym ją stamtąd wycofać i oddać komu należy. Kiedym mu to powiedział, skrzywił się.

— W takim razie przyjdę jutro do pana o tej samej godzinie.

Teraz z kolei we mnie zbudziły się podejrzenia... i to nader poważne. Zacząłem przypuszczać, że chce on pieniądze wyłudzić podstępnie. Wszakże podstęp użył, ażeby się dowiedzieć, że mi je już przysłano. Nie znałem go z tej strony. Pomimo całego cynizmu, czy może właśnie z powodu tego cynizmu, zawsze dotąd był w stosunkach pieniężnych niezmiernie prosty i szczerzy. Dziś puszcza się na krętactwa. To mnie uczyniło baczny.

Powiedziałem mu otwarcie:
— Proszę pana, plenipotencję do podniesienia pieniędzy wystawiła mi pani — nie pan. Dlatego, proszę mi darować, ale to, co mi przysłano, pani, nie panu do rąk oddać uważam za stosowne.

Zachwiał się. Po chwili jednak wymienił adres, zaklinając wszakże, abym nikomu ze znajomych o ich pobycie w Paryżu nie wspomniał. Ściśle dotrzymałem zobowiązania, ale sam byłem nazajutrz w ich domu.

Najęli sobie około Passy tak zwany hôtel particulier, z kompletnem, a nawiasem mówiąc, bardzo wytwornem urządzeniem. Był to niewielki, biały pałacyk, ukryty wśród bujnej roślinności pięknie utrzymanego ogrodu.

Urocze zacisze!

Przyznaję, że nie bez pewnej zazdrości oglądałem rozkoszną, niesłychanie wygodnie i pomysłowo urządzoną siedzibę. Ona oprowadzała mnie

po wszystkich kątach i kącikach, pokazywała szczegółowo wszystkie pokoje i zakamarki, chwaliła się barwistym, cudnie rozwiniętym kwietnikiem, zwracała uwagę na artyzm zdobiących fronton rzeźb i ornamentacji. Poznałem miejscowość jaknajdokładniej. Dlatego też, skoro nazajutrz po katastrofie codzienne pisma ilustrowane podały wizerunek kokieteryjnej elewacji pałacyku, gdzie się wydarzyło owe sensacyjne morderstwo, pomimo nader fantastycznego brzmienia nazwisk, co do osób nie miałem najmniejszej wątpliwości. Oni!

Uprzytomniłem sobie nagle rozkład mieszkania — z zdziwną jakąś plastyką i wyrazistością oczami wyobraźni ujrzałem ten świetny, błękitną materją wybity pokój, zbluzgany krwią i ich dwa trupy, rozciągnięce na puszystym dywanie. Widziałem to tem jaskrawiej, że już wtedy znalazłszy się tam, pod wpływem grozy przypuszczeń, wyobraziłem sobie tę rzecz jako rzecz nieuniknioną. Podniecona imaginacja odtąd nie przestawała pracować ani na chwilę. Z

przerazającą ścisłością odbudowałem w fantazji szczególnie po
szczególnie końcowe
sceny tragedji. W ciszy rozmyślań samotnych słyszałem
najdokładniej słowa ich
rozmów rozdrażnionych, niecierpliwych, rozpacznych,
gwałtownych, prowadzących
nieodwołalnie do ostatecznych konsekwencji... Padał strzał...
drugi... trzeci..
Sen haftował dalej na tej obrzydłej kanwie

najokropniejsze widziadła. Powracały uparcie, skoro tylko,
znużony, zmrużyłem
oczy na chwilę. Budziłem się nagle w nocy, wstrząśnięty
hukiem strzałów,
widokiem upadających ciał...
Okropne wizje zaczęły mnie prześladować potem na jawie w
dzień, w czasie
czuwania. Zdawało mi się ciągle, iż jestem pod wpływem
niezmiernie wyraźnych
halucynacji wzrokowych i słuchowych. Na moment jeden nie
mogłem od siebie
odpędzić złej mary; nie mogłem opanować się i skupić na tyle,
ażeby skierować
myśli w inną stronę. Poprostu nie byłem już w możności zająć
się żadną
literalnie pracą. Kiedy brałem książkę do ręki, sądząc, że
oderwie mnie od myśli
natrętnej, spostrzegalem nagle, że nie rozumiem tego, co
czytam, natomiast każde
zdanie, każdy wyraz, każda litera niemal budziły jakieś
niesłychanie bliskie

skojarzenia ze sprawą, o której pragnąłem właśnie wszelkimi siłami zapomnieć.

Rzucałem książkę. Szukałem towarzystwa, gwarnych rozmów, huczącej wesołości, zabawy. Do późnej nocy przesiadywałem u Pascala, gdzie zawsze można było znaleźć liczną, choć może nie nazbyt dobraną kompanję. Nie chciałem być wybredny.

Ciągnąc piwo, słuchałem niewymyślnych conceptów, oklepanych anegdot i pikantnych plotek kolonialnych, ażeby tylko nie znaleźć się w samotności. Ale i to niebardzo pomagało. Przez pięć dni

po owej fatalnej wizycie w ich domu, czułem na sobie niewypowiedzianą udrękę. Aż oto gazety poranne przyniosły wiadomość, zda się, niecierpliwie oczekiwaną. Czytając w dziennikach opisy wypadku, miałem wrażenie, że przeżywam z nadzwyczajną dokładnością po raz wtóry momenty, już kiedyś przeżyte. Z opisów tych wydało mi się, jakoby cała mise en scène wypadku była przezemnie uprzednio zaaranżowana. Straciłem poczucie granic rzeczywistości i własnego marzenia, jak człowiek, który ulega chorobliwemu rozdwojeniu osobowości. Wszakże ja to wszystko już widziałem, tak co do joty, jak to podają gazety. Kiedy? Wtedy, w czasie wizyty, czy przez te pięć dni męczących halucynacji? Czy

może teraz dopiero, po przeczytaniu w gazetach
szczegółowych opisów wydarzenia,
nie zdając sobie sprawy, — przenoszę fakty konkretne na tło
własnych przywidzeń
i stąd owo niepojęte pomieszanie w czasie i przestrzeni
doznań doraźnych.

Ale nie. Czytam, dajmy na to w "Journalu" fantastyczną
legendę, którą pomysłowy
reporter wysłał sobie z palca, i nie poddaję się bynajmniej
sugestji. Owszem,
czuję w sobie potrzebę sprostowywania na każdym kroku
błędnych informacji
dziennikarskich. Niebawem jednak numer "Matina", który mi
wpadł w rękę, a
którego informacje, snadź na miejscu u źródeł sprawdzone,
były nierównie

ściślejsze, przekonał mnie, że moje sprostowania są
najzupełniej zgodne z
prawdą.

Dlaczegoż nie poddałem się sugestiom "Journal'a"?
Nie będąc na miejscu, umiałbym o wiele dokładniej nakreślić
plan sytuacyjny
wypadku, niż to uczyniły niektóre pisma, przez umyślnie w
tym celu wysłanych na
miejsce rzeczoznawców. Mimowoli w dziennikach, które mi
wpadły w rękę, robiłem
ołówkiem odpowiednie poprawki.
Portrety ofiar, podane przez pisma, zgoła są niepodobne. Z
pamięci narzuciłem w

notesie kilku linjami ich podobizny i jestem przekonany, że nieskończenie wymownej przypominają ich wykrzywione wulką i spazmem śmiertelnym rysy, niż wszystkie zdjęte z natury fotografie.

Zaczął mnie w najwyższym stopniu interesować to korygowanie błędów i niedokładności publicystycznych, zwłaszcza, kiedy śledztwo sądowe, ze złych wychodząc założeń, na fałszywe całą sprawę skierowało drogi.

Ja jeden byłem w posiadaniu pewnych, niczem niezmaconych, wiodących jedynie do rozwiązania tajemnicy, wskazań.

Oczywiście, łatwo i natychmiast wykryto, że nazwiska pod jakimi zapisali w się Paryżu były przybrane. Poznanie jednak prawdziwych okazało się sprawą trudniejszą.

Wystawiono zatem ciała w Mordze.

Jak wyżej wspomniałem, nie mogłem zapanować nad sobą, ażeby tam nie pobiec.

Ciągnęła mnie nieprzeparta chęć sprawdzenia naocznie, że nie jestem igraszką przywidzeń. Pragnąłem także sprawdzić, na ile rysunki moje pamięciowe były zgodne z rzeczywistością. Nie wiem dlaczego, ale ogromną do tego przykładalem wagę. Biegłem też z gorączkowym pośpiechem, nie bacząc na to, że czynem tym mogę

się zdradzić, jak blisko ze sprawą jestem związany, czy lepiej,
jak wiele... jak
przerazająco wiele mógłbym o niej powiedzieć. A
powiedzenie tego głośno,
publicznie, przed kratkami sądowymi, wobec licznie
zebranych tłumów kosztowałoby
mnie zaprawdę zbyt wiele...
Raczej zapaść się w ziemię.
Rozumiałem też, że wyprawa do Morgi była najwyższą
nieostrożnością. Wiedziałem,
że detektywi mają zwyczaj przez szpary i zamaskowane
okienka obserwować tych
wszystkich, którzy przeciągają przed szklaną ścianą tej
okropnej wystawy. Często
wśród obojętnych, wiedzionych prostą ciekawością widzów,
dostrzegają
osobistości, których wyraz twarzy zdradza ukrywających się
dotąd przed pościgiem
winowajców. Znana jest powszechnie ta strona w psychologii
morderców, że krążą
dokoła swych ofiar, jakby pod przemocą praw jakiegoś
fatalistycznego
przyciągania. Jakże to często wpadają oni w sidła, nie mogąc
oprzeć się sile
tego

przyciągania. Zjawiają się na miejscu przestępstwa w
chwilach dla siebie
najniebezpieczniejszych, podążają na cmentarz za trumną
ofiary lub starają się

bodaj zdaleka zobaczyć jej oblicze. Oczywiście niepodobna, ażeby w tym wypadku zachowaniem się, wyrazem, gestem, nie zdradzili jakiegoś żywszego poruszenia.

Dla agentów wydziału śledczego bywa to niekiedy jedyną wskazówką, prowadzącą na trop właściwy.

Zapewne, nie byłem mordercą, czułem jednak, że w chwili, kiedy ujrzałem ich trupy, na twarzy mojej odmalowało się znacznie więcej, niż zwykła ciekawość.

Drżałem na całym ciele i niewątpliwie byłem śmiertelnie blady. Miałem pewność, że argusowe oczy, obserwujące mnie gdzieś z ukrycia, nie mogą nie zauważyć pomieszania. Prawie namacalnie poczułem na sobie jakieś śliskie, gładkie dotknięcia niewidzialnych spojrzeń.

Kto zgadnie, jak ci ludzie, przywykli do tropienia zbrodni, zechcą zachowanie się moje rozumieć? Uświadomienie sobie tego wytrącało mnie jeszcze bardziej z równowagi.

Zachwiałem się na nogach, jakbym był bliski omdlenia. Zacząłem wyrzucać sobie, że popełniłem tak wielką nieostrożność, ale w tej chwili wszystko zrozumiałem.

I to było konieczne. I tę chwilę przeżywałem powtórnie. Wszystko musiało się spełnić dokładnie

aż do końca. Ja już ich widziałem przedtem w tych pozycjach,
w tem otoczeniu;

drżałem, ażeby się nie zdradzić.

Byli tu w licznym towarzystwie. Po prawej stronie na narach
leżało trzech

topielców, wydobytych z Sekwany. Widziałem już kiedyś te
postrzępione łachmany

nędzarzy, a na nich zzieleniałe błoto rzeki. Po lewej ciągnął
się szereg zwłok

męskich i kobiecych, o głowach zmiżdżonych,

pogniecionych, zniekształconych w

sposób najokropniejszy. Patrzyłem na nich jak na starych,
dobrych znajomych.

Tak, są tu wszyscy. Nikogo nie braknie!...

Tych dwoje niewątpliwie wyróżniało się w kompanji
dystynkcją i owym wyrazem

szczególniejszym. Przypomniało mi się, że ten wyraz
„wtedy” zanotowałem.

Dobrym z kieszeni notes z rysunkiem.

Nie! To było poprostu niepojęte. Czyż tylko i jedynie intuicja
prowadziła mi

rękę wtedy, kiedy szkicowałem ich podobizny?

W oczach mi się zamroczyło. Oparłem się o ścianę.

— Panu zrobiło się niedobrze? — szepnął koło mnie jakiś
głos.

Nie odpowiedziałem. Po chwili uczułem, że mnie jakaś silna
dłoń ujęła pod ramię

i wyprowadza z tego przybytku okropności.

— Ale pan ma delikatne nerwy, do diabła! — Słyszę ten sam
głos, kiedy się już

znalazłem na dworze, w blasku jasnego, pogodnego dnia letniego.

— Stał przedemną człowiek w niebieskiej bluzie i brązowych, aksamitnych, bajecznie szerokich spodniach.

Charakterystyczny typ robotnika francuskiego.

— Wzięło pana, co?

— Wzięło. Widok istotnie jest przerażający — odparłem i dziękowałem za pomoc.

Machnął ręką.

— Niema za co.

Skreślił na pięcie i poszedł w swoją stronę.

Zostałem sam na moście. Świeży powiew powietrza od rzeki otrzeźwił mnie. Uczułem

przyływ sił i sił tych użyłem natychmiast do raptownej ucieczki z tych miejsc

okropnych. Nagle opamiętałem się. Podobna ucieczka wzbudzić musiała jeszcze

silniejsze podejrzania. Poskromiwszy się tedy całą mocą woli, szedłem wolniej,

ale oglądałem się co chwila za siebie, czy jaka podejrzana osobistość nie

następuje mi na pięty.

Wróciłem przecież do domu nie śledzony, a przynajmniej nic niepokojącego w tej

mierze nie zauważyłem. Natychmiast jednak spaliłem owe fatalne rysunki, ażeby

zniszczyć tak wymowny dowód rzeczowy.

Bądź co bądź spodziewałem się, że czy wcześniej, czy później przyjdą mnie

zapytać...

II.

Nikt wszakże nie przychodził. Nazajutrz jednak, po przeczytaniu dzienników, chciałem już choć niepytany i nienagabywany przez nikogo, sam narzucić się ze swemi zeznaniami.

Sprawa przybierała tok całkiem niespodziewany. Władze śledcze odrzuciły całkowicie hipotezę o samobójstwie, co było jedynie słuszne i logiczne, a uparcie powracały do podejrzeń o morderstwo w celach rabunku.

Pisma przyniosły właśnie wiadomość o zaarrestowaniu ich lokaja, młodego chłopca, który mieszkał w pałacu w jednym z pokoików niskiej, zdobiącej fronton, attyki.

a którego krytycznego poranka znaleziono w łóżku. Spał spokojnie snem sprawiedliwego. Sen ten, zresztą w czasie, kiedy właściwie z natury obowiązków swoich, lokaj powinien być na stanowisku, sędzia śledczy uznał za symulację i chłopca zamknięto, zwłaszcza, że jakoby wina jego miała za sobą mnóstwo jeszcze innych, niesłychanie obciążających dowodów.

Dla mnie, który cały wypadek widziałem wyobraźnią z taką ścisłą dokładnością w każdym szczególe, ów zwrot w dochodzeniu wydał się jed-

nym z naidjotyczniejszych błędów policji i to błędem w
najwyższym stopniu
niebezpiecznym. Bo jeżeli było rzeczą ostatecznie obojętną, że
danych do
stwierdzenia osobistości denatów szukano w Ameryce
Południowej, jeżeli,
powiadam, niewykrycie ich pochodzenia i nazwisk
właściwych nikomu krzywdy
przynieść nie mogło, owszem, z pewnych względów było
nawet pożądane — o tyle już
samo posądzenie o zabójstwo człowieka niewinnego jest
doprawdy czemś okropnem.
Jeżeliby jednak okoliczności miały się tak złożyć, że nie
będzie on umiał
dowieść swej niewinności, jeżeli poszlaki przeciw niemu
spiętrzą się tak
fatalnie, że mogą go wysłać pod gilotynę, wtedy milczenie
tych wszystkich,
którzyby jakiegokolwiek światła na sprawę rzucić mogli, byłoby
zbrodnią
nieprzebaczalną.
Ja byłem w posiadaniu owego światła. Sądziłem, że skoro
tylko zjawię się w
urzędzie i odkryję wszystkim tajemnicę, wszystko stanie się
jasne i zrozumiałe.
Prysną wszelkie uboczne, nieugruntowane na niczem
podejrzenia i nikt
gdzieindziej nazewnątrz, poza ich zbrodnią wewnętrzną,
winnych szukać nie
będzie.
Sądziłem, że władam magicznem słowem, które jak zaklęcie
otworzy biedakowi bramy

więzienia i bez wszelkich zastrzeżeń wywiedzie go na wolność.

Nie mogłem się wahać. Pobiegnę natychmiast do prefektury. Przyjęto mnie dosyć lekcewa-

żaco, choć oświadczyłem, że mam do zeznania rzeczy nader ważne. Urzędnik, który prowadził sprawę, był nieobecny. Kazano mi przyjść po południu. Tymczasem owych kilka godzin przyniosło nowe rewelacje.

O południu ukazał się specjalny dodatek któregoś z ruchliwszych dzienników i to, co tam wyczytałem, zachwiało postanowieniem. Zachwiało ono także całą

konstrukcją, jak się wydało, całkowicie fantastyczną.

Policja, jak zwykle w podobnych wypadkach, przed ukończeniem śledztwa nie dawała prasie informacji dokładnych, owszem umyślnie wskazała jej kilka punktów

najzupełniej fałszywych, ażeby tym sposobem odwrócić uwagę od rzeczywistego

kierunku poszukiwań. Prasa odegrała w danym razie rolę naganki, która miała

ostatecznie napędzić do matni osaczonego już ze wszystkich stron zwierza.

Podszeptnięto jej umyślnie historję o samobójstwie, ażeby tem pewniej, tem

łatwiej zarzucić sieć na istotnych morderców, którzy, ufając rozpuszczanym

głośno wieściom, pewni, że wszelkie podejrzenia od nich są już stanowczo odwrócone, ze swej strony zaniebają koniecznych ostrożności i sami wpadną w ręce policji.

Dalsze prowadzenie gry podobnego rodzaju okazało się zbyt bezcelne, gdyż wszystkie zamierzenia paryskiej "Sûreté" powiodły się nadspodziewanie szybko. Przestępcy odkryli się przy pierwszej spo-

sobności i są już pod kluczem. Wobec tego niema potrzeby podstępnej maskowania śledztwa, które odrazu wpadło na trop właściwy. Przypuszczenie samobójstwa wyłączała stanowczo i bez wszelkich wątpliwości, choćby ta okoliczność, że przy zabitych nie znaleziono broni z której zginęli, a mianowicie sześciopalcowego rewolweru bardzo małego kalibru.

Nie mógł on ulotnić się, jak kamfora. Musiał go ktoś wynieść. Wyniósł go zaś wraz z całą gotówką i kosztownościami, jakie niewątpliwie mieli w domu ludzie zamożni, zajmujący tak wytworne mieszkanie — właśnie ów zaareztowany lokaj.

Oczywiście, wszytkowiedzący reporter nie umiał ustalić wysokości zrabowanej sumy, natomiast ja, który osobiście, przed pięciu zaledwie dniami, wręczyłem im

przekaz na trzydzieści kilka tysięcy franków, rozumiałem, że była to jednak kwota, na którą mógł się złakomić człowiek tej kondycji. Że zaś dalej, brak tych pieniędzy po wypadku, cały wypadek w innym zgoła przedstawia świetle, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Wypadało stąd znowu, że jasnowidzenie moje było poprostu chorobliwym przywidzeniem i niczem więcej. Niewątpliwie dedukcje dziennika były logiczne, a Sureté paryska słusznie postąpiła, puszczając za pośrednictwem prasy fałszywe wiadomości,

jeżeli przez taki właśnie manewr zdołała ująć istotnych przystępców. Jak skuteczne były owe sugestje, miałem dowód na sobie. Przez właściwą naturze ludzkiej jednostronność sądu, przez zacieśnienie sposobu widzenia do osobistych skłonności uczuciowych i pojęciowych, z rozpuszczonych przez pisma wiadomości za prawdziwe uważałem te tylko, które owym skłonnościom odpowiadały, które mogłem naciągnąć do aprioristycznie postawionych założeń. Widziałem to, co widzieć chciałem. Odruchowo dokonałem wyboru, narzuconego przez takie a nie inne tendencje moralne. Stąd powstała teza o jakiejś konieczności fatalistycznej, do której wszystko sprowadzałem ze ślepym uporem manjaka.

Uwierzyłem, że spełnili na sobie nieodwołalny wyrok
przeznaczenia, bo mi taką
wiarę narzuciły moje przekonania wewnętrzne.
Trzymając się ciągle tej jednej linii skojarzeń myślowych, nie
widziałem tysiąca
innych logicznych możliwości.
Nie zdawałem sobie na razie sprawy z błędów, jakie w
rozumowaniu popełniam.
Wychodziłem ze stanowiska jakiejś niezmienności bytu i jego
zagadnień
najważniejszych.
Wszystko jest względne. Powinienem był to zrozumieć, do
kroćset, obracając się
od lat tyłu między ludźmi najrozmaitszych przekonań, wierzeń
i obyczajów. Boć
przecie na każdym kroku spoty-

kam osobniki, zdaje się tego samego co ja gatunku, urodzone
pod tym samym
stopniem szerokości i długiej geograficznej, tej samej
pozornie kultury, tej
samej nawet sfery towarzyskiej i intelektualnej, a jednak tak
różne w
całokształcie stosunku swego do pojęć o honorze, o
odpowiedzialności moralnej, o
obowiązках społecznych i t. p., że poprostu w dyskusji
niepodobna odnaleźć
możliwych dróg porozumienia się.
Powinienem to być zwłaszcza przyjąć za pewnik po licznych
rozmowach z nim i z
nią.

Staliśmy istotnie na dżametryalnie przeciwnych sobie punktach
w sposobie
rozstrzygania całego szeregu zagadnień życiowych. Oni, jako
ludzie nowi, jako
twórcy swoich własnych wartości, przechodzili obojętnie nad
faktami, które mnie,
obciążonego dziedzicznie wiekowym przesądem, wstrząsały
do głębi jestestwa.
Imputowałem im własne uczucia i stąd główny błąd w
dedukcjach.
Ostatnie, najnowsze i, zda się, już zupełnie sprawdzone
rewelacje gazet w tej
sprawie dały mi to poznać najoczywiściej. Runęła
fantastyczna hipoteza,
przybierająca już w umyśle moim kształty niebezpiecznego
opętania.
Trzeźwe poznanie rzeczywistości rozwiało ponurość wyległej
w imaginacji wizji.
Zdawało mi się, że nagle przetań dotknięte chwilową
ślepotą oczy i dopiero
teraz widzę jasno. Wszystko zaś, co widzę — widzę w
barwach i wymiarach natural-

nych — to jest zwyczajnie, pospolicie i dziwnie płasko.
Zwykłą, codzienną aferę zbójczą jakich kroniki kryminalne
notują tysiące,
wziąłem za jakieś planowe zarządzenie wyższych, panujących
nad światem potęg.
Łudziłem się.
Żałowałem, że zniszczył rysunki, które mogły obecnie
służyć za rzeczowy,

oczywisty dowód owego samołudzenia się. Byłem najmocniej przekonany, że poza zwykłą, dostępną dla mnie w zakresie mych uzdolnień próbą pochwycenia podobieństwa z pamięci, nie przedstawiały one zgoła nic osobliwego.

Przerzchnął nastrój, który mi podsuwał wiarę w jakąś naprzyrodzoną siłę intuicji.

Czułem się uleczony.

Naturalnie wobec tego do prefektury już nie poszedłem. Nie miałem potrzeby

narzucić się z zeznaniami, które na przebiegu sprawy zaważyć nie mogły. W gruncie

rzeczy zbrodnia nic a nic nie zmieni się w swej istocie, choć władze poznają

wartość moralną osób pomordowanych.

Pozostawiłem tedy uwięzionego zbrojnego jego własnemu dowcipowi. Straciłem dla jego

niedoli współczucie, owszem zrodziła się we mnie, jakby szczególniejsza

nienawiść do tego zbrodniarza, którego ohydny czyn, popełniony dla rabunku, po-

czytywałem przez chwilę za coś zupełnie odmiennego .

Nienawidziłem go za swój zawód i, przyznam się, nie rozrzewniłem się bynajmniej

jego losem. Niech idzie pod gilotynę!

Tamtych po kilku dniach daremnych poszukiwań pogrzebiono nierozpoznanych.

Sądziłem, że o sprawie zapomnę nazawsze.

III.

Miało się wszakże stać inaczej.

Jeszcze wiele, wiele razy tajemnicze morderstwo w pałacyku na Passy przychodziło

niespodziewanie szarpać mi nerwy, niepokoić wyobraźnię.

Stawało przedemną jak

zmora natrętna w chwilach kiedy właśnie pragnąłem owej

równowagi jaknajusilniej,

kiedy pragnąłem spokoju, swobody myśli, możliwości zupełnego oddania się swoim

studjom, ażeby ukończyć wreszcie pracę, której poświęciłem już wiele lat

wysiłku, a na której opierałem wszystkie ambicje i plany na przyszłość.

Przyplątało mi się to do egzystencji, jak uparta, chroniczna choroba, wracająca

ciągle mimo pozornych oznak rekonwalescencji.

Zaciskałem zęby, czekałem cierpliwie na wygaśnięcie

ostatnich iskier niepokoju

pod wystudzonemi popiołami zapomnienia, ale ciągle wydarzenia

jakieś nieszczęśliwe rozdmuchiwały owe popioły i niepokój to z mniejszą, to z

większą siłą żarzył się w wyobraźni mojej nieustannie.

Przekłęta zmora.

Przedewszystkiem jakoś w parę dni po pogrzebie

dowiedziałem się o uwolnieniu

posądzonego o morderstwo lokaja.

Potrafił on ustalić swoje alibi tak stanowczo i wiarogodnie, że niewinność jego

nie mogła ulegać najmniejszym podejrzeniom. Niewątpliwie, gdyby sobie pocziwiec był spokojnie spoczywał w swoim pokoiku, i, jak wypadało, przespał noc twardym snem, nietyle sprawiedliwego, ile utrudzonego dzienną pracą człowieka, ustalenie podobnego alibi byłoby rzeczą niemożliwą. Kto wie, czyby nie spadła wtedy do kosza gilotyny głowa istoty niewinnej. Doprawdy, na myśl o tem dreszcz przechodzi po kościach. Na szczęście, istotnie zadziwiającym zbiegiem wypadków lokaja nocy krytycznej w domu nie było. Przyszedł tam nad ranem. Przesadziwszy ogrodzenie parku, przesunął się cichutko bocznem wejściem i na palcach wszedł do siebie na górę. Oczywiście, nie miał potrzeby sprawdzać, co się dzieje na dole. Chodziło mu o to tylko, ażeby się przekraść niepostrzeżenie do siebie. Jakoż udało mu się to doskonale. Najmniejszy szelest nie zdradzał, że wejście jego do pałacu usłyszano. Korzystając z te-

go, że jeszcze pozostało jakieś dwie godziny, zanim czas powoła go do codziennych obowiązków, rozebrał się, pocziwiec, i położył najspokojniej do łóżka. Łatwo zrozumieć, że spał mocno i spał dłużej, niżby wypadało, nie przypuszczając, jak straszne czeka go przebudzenie.

Pierwsze podejrzenia przeciw niemu zwróciła służąca, która, nie mogąc doczekać się zwykłego dzwonka, wzywającego do rannych posług, zeszła sama na dół, gdzie zastała panią i pana pomordodowanych. Wszczęła alarm i natychmiast, skoro tylko zjawiała się policja, zaprowadziła ją do izdebki lokaja. Chłopak, nagle ze snu zbudzony, oczywiście przeraził się niepomiernie widokiem policjantów, ale odrazu wypierał się wszelkiego udziału w morderstwie. Przyciśnięty krzyżowemi pytaniami do muru, przyznał wprawdzie, że w domu nie nocował, co zresztą zeznania innych osób najzupełniej potwierdziły, ale to jeszcze silniejsze narazie przeciw niemu dawało poszlaki. Widziano go kręcącego się przed piętą nad ranem, około pałacu, a przedtem jeszcze dwaj sierżanci policyjni, patrolujący na rogu ulicy, zauważyli, jak nieopodal od ich stanowiska wysiadał z samochodu. Nie zdążyli wprawdzie zanotować numeru pojazdu, gdyż oddalenie, w jakim się zatrzymał było, bądź co bądź, zbyt wielkie, w każdym razie scena cała wydała im się podejrzana. Śledzili więc

wzrokiem tak konspiracyjnie wysiadającego z samochodu młodzieńca, doprowadzili

go też w ten sposób aż do furty ogrodzenia parkowego, do którego dotykał wysunięty ku ulicy domek *consiêrge'a*. Tu go zostawili, wiedząc już, kto jest i dokąd zmierza. Chłopak istotnie miał zamiar nacisnąć guzik dzwonka elektrycznego i, zrezygnowany na wszelkie, mogące wyniknąć stąd konsekwencje otwarcie przyznać się odźwiernemu do nocnej wycieczki, kiedy widok oddalających się policjantów nasunął mu myśl spróbowania tajemnego przedostania się do domu. Jakoż cofnął się o kilkanaście kroków, pod gęste ulistwienie grupy kasztanów, i, korzystając z wysuniętej ponad ogrodzenie gałęzi, chwycił się jej ręką i jednym susem przesadził żelazne sztachety. Istotnie, poznano wyraźne, jakkolwiek już nieco przez padający od rana deszczyk rozmyte ślady nóg jego na ziemi. Dopełniło to znakomicie świadectwa, złożonego przez patrolujących sierżantów, którzy, wypawszy się po służbie nocnej, przyszli władzom spostrzeżenia swoje zameldować. Rosła góra poszlak obciążających. Tymczasem ekspertyza lekarska z całą naukową ścisłością orzekła, że śmierć ofiar nastąpić musiała na wiele godzin przed odkryciem zbrodni, co, jak dla orientacji zaznaczyć wypada, miało miejsce dopiero około ósmej rano. Ciała były już zupełnie

sztywne, a krew na nich zaschła w sposób charakterystyczny. Według orzeczenia lekarskiego tedy, zgon nastąpił nie później niż między dziesiątą a dwunastą wieczorem.

Wnioski stąd łatwe:

Zbrodniarz miał czas wynieść z domu i ukryć w miejscu bezpiecznym zrabowane pieniądze, tudzież broń, którą dokonał zabójstwa, a potem wrócić na miejsce przestępstwa, ażeby swoją tam obecnością odsunąć od siebie wszelkie możliwe podejrzenia.

Temi drogami dążyły dedukcje organów śledczych i, przyznać trzeba, drogi te narzucała logika z nieubłaganą konsekwencją.

Podziwiano pomysłowość zbrodniarza, jego zimną krew i odwagę, z jaką przygotowywał sobie bezkarność.

Istotnie, gdyby udało mu się zatrzeć ślady nocnej wycieczki, to ta okoliczność, że nie znaleziono przy nim, ani zresztą w całym domu, który najskrupulatniej od piwnic do dachu przetrząsnięto, tego jedyne, prawdziwie obciążającego corpus delicti, jakim były pieniądze i owe znane ze swych skutków narzędzie mordercze — rewolwer sześciopalcowy małego kalibru — to z całą pewnością uniknąłby kary

dla braku dowodów, choćby wewnętrzne przekonanie sędziów najgłośniejszym wołało o jego winie.

Zachowanie się więźnia wzbudzało poprostu zachwyt w pewnych sferach publiczności paryskiej. Osobliwie kobiety entuzjasmowały się nadzwyczajnie śmiałą postawą młodego zbrodniarza.

— Zuch — opowiadały sobie midinetki, wybiegając z pracowni na południe.

Śpieszyły na skromne śniadanie do najbliższej winiarni, a każda zatopiona po uszy w swojej gazecie, nabytej bodaj za cenę deseru, którego chętnie wyrzekały się dla sprawy.

— Bohater! — powtarzały sobie w dzielnicy kupcowe, majstrowe i odźwierne, wpatrując się w wizerunek ładnego chłopca, zamieszczony na naczelnym miejscu w pismach ilustrowanych. — Jeszcze tylko między zbrodniarzami spotkać można prawdziwych mężczyzn, prawdziwych ludzi czynu... Istotnie, niezwyklej trzeba było odwagi, czy niezwyklej bezczelności, ażeby wrócić na miejsce przystępstwa i z całą świadomością narazić się na piekło bezpośrednich badań i konfrontacji. Trzeba było doprawdy niesłychanej wiary w siłę woli i przytomność umysłu — nadzwyczajnego zaufania do mocy nerwów, ażeby

powierzyć im w podobnych okolicznościach bezpieczeństwo własnej osoby, ażeby nie bać się, że jakimś jednym niebacznym, wyłamującym się z pod wszelkiej kontroli, odruchem zdradzą wszystko odrazu. Chłopak po chwili przerażenia, spowodowanego nagłym przebudzeniem, wnet odzyskał zimną

krew i panowanie nad sobą, a potem już ciągle z godną podziwu obojętnością patrzył na wszystkie okropności miejsca i z niewypowiedzianym spokojem odpowiadał na krzyżowe pytania policji. Zmieszał się na moment, na jedno mgnienie oka, kiedy mu dowiedziono, że w nocy z domu wychodził, że są na to niezbite, nie ulegające zaprzeczeniu świadectwa.

— Ha, jestem zgubiony! — rzekł z rezygnacją, ale w dalszym ciągu zapierał się wszelkiego udziału w zbrodni.

— Wykaż zatem swoje alibi.

— Niepodobna.

— Dlaczego?

— Osoba, z którą przepędziłem wieczór, osoba, która w danym wypadku mogłaby być jednym moim alibistą, jest... damą.

— Proszę! — rzucił ironicznie przez zęby komisarz, prowadzący śledztwo.

— Damą z towarzystwa! — dodał obwiniony z mocą i z jakąś dziwną rzewnością w

spojrzeniu.

Tu już pan komisarz, mimo powagi swego stanowiska nie mógł powstrzymać nagłego wybuchu wesołości. Roześmiał się głośno, szczerze, swobodnie. Odpowiedział mu chrapliwą kakofonją niesfornych głosów chór zebranych w izbie agentów.

Romantyczna postawa przypuszczalnego mordercy wywoła w ponurem biurze bezpieczeństwa nastrój doskonałego humoru. Bawiono się tem

przewybornie. Posypały się trefne koncepty. Powtarzano sobie bon moi figlarnego zbrodniarza, naśladowano ton jego liryczno-namaszczonego wyznania.

— Ha, ha, znają takich!

Diapazon wesołości, podsycany sypiącymi się jak z rękawa dowcipami, podnosił się nad miarę, aż komisarz zmarszczywszy brwi, surowym nakazem uspokoił rozigraną tłuszcę.

— Dosyc tej zabawy! — zawołał. A potem zwrócił się do jednego z agentów:

— Hej, Benoit! Popsuj-no trochę humor temu młodzieńcowi, żeby nas dłużej nie bawił romansami a la pani Marlitt!

Zbliżył się gruby mężczyzna o twarzy dobrotliwej, starannie wygolonej. Podrzucał w rękę dwie niewielkie pałeczki drewniane, bawiąc się niemi od niechcienia.

Niebawem pałeczki te, niby również dla zabawy, wplotły się między palce prawej ręki obwinionego.

Uczuł w ręku ostry, nieznośny ból. Łzy zakręciły mu się w oczach, zdołał je jednak zatrzymać pod powieką. Wyrwało mu się jeno przez zęby ciche, zduszone mruknięcie.

— A teraz, mój młody przyjacielu, mówmy poważnie — rzekł pan komisarz. — Jakto tam było z tą nieszczęśliwą nocą, kiedy w pałacu popełniono morderstwo? Tylko uprzedzam cię, szczedź nam aktorskich efektów z zawracaniem oczu, bo my się

na kabotynizmie wszelkim znamy wybornie. Powiem ci, że koncept nie jest bynajmniej nowy i nie przynosi zaszczytu twej pomysłowości. Zacznij, kochanie z innej beczki. To ci radzę, w twoim własnym interesie. Ale on, ochłonawszy już nieco po niemiłym doświadczeniu z pałeczkami, z niewysłowioną, niezrozumiałą wprost w podobnych warunkach pogogą i rozradowaniem opowiadał przygody swoje tejnocy. Mówił, że zwolniony ze służby przed ósmą, udał się do teatru, gdzie, według zapewnienia, miał ją ujrzeć. Jakoż istotnie z galerji, na której wypadło mu

miejsce, widział ją w łoży naprzeciwko. Była z mężem i dwiema jakimiś starszemi paniami. Po przedstawieniu panie owe odjechały do domu dorożką, ona zaś samochodem odwiozła męża do klubu. On czekał na nią w umówionem miejscu, na rogu pewnej bardzo ruchliwej ulicy, dokąd niebawem przyjechała, aby go zabrać ze sobą. Jeździli długo po mieście w różnych kierunkach. Nad ranem udali się do jednej ze znanych nocnych restauracji, gdzie zjedli razem sutą, przytem najlepszem zakrapianą winem, kolację. Aż wreszcie tym samym samochodem, który na nich czekał przed ową reustauracją, odwiozła go na Passy i wysadziła na ulicy, o kilkaset kroków od domu.
— Ależ, chłopcze kochany, — rzekł komisarz —

masz najcudowniejszą pod słońcem sprawę. Chodzi tylko o to, ażeby osoba ta, tak zresztą dla ciebie uprzejma, przyszła tu osobiście i to wszystko, co mówisz, potwierdziła.
— Nie może to być — zawołał gwałtownie chłopak. — Nigdy, nikomu nie zdradzę nazwiska tej kobiety!
— Hm, gest bajeczny! — odparł urzędnik ciągle jeszcze tonem drwiącym i urągliwym
— bardzo to jest pięknie z twojej strony, bardzo po rycersku, bardzo po

dżentelmeńsku, i przyznaję, nigdybym nie podejrzewał o podobną delikatność człowieka pańskich kondycji, panie lokaju! Ale chcę uszanować skrupuły, jak w danym wypadku, sięgające granic najszczytniejszego poświęcenia, bo tu, jak rozumiesz, drogie dziecko, o główkę twoją chodzi. Skoro jednak pragniesz zachować wzniosłą dyskrecję wobec damy swego serca, my ci możemy ułatwić sytuację o tyle, że nie potrzebujesz bynajmniej przed nami wyjawiać jej nazwiska. Wskaż nam tylko dokładnie czas i miejsce, gdzieście wsiadali do samochodu, lub miejsce przed restauracją, gdzie samochód na was oczekiwał, lub wreszcie każde inne miejsce gdzie pojazd się zatrzymywał bodaj na chwilę, a my ci już własnymi środkami potrafimy odnaleźć szofera, który zaświadczy o prawdziwości słów twoich. Tym sposobem zdołasz ocalić głowę na karku, a w głowie przeświadczenie, żeś w niczem nie uchybił kawalerskiej powinności.

— Jaktó, więc policja mogłaby z takich jedynie dalekich wskazówek odnaleźć

samochód, który nas woził przez tę noc cudowną?

— Ha, mój panie, agenci nasi notują wyruszające w drogę pojazdy na wszystkich

punktach miasta, co do naszych celów jest metodą tak skuteczną, że gdybyś mi powiedział ściśle czas, kiedyście, dajmy na to, wyjechali z przed Wielkiej Opery, za parę godzin wiedziałbym nietylko numer samochodu, ale szofer przyszedłby tu przedstawić ci się we własnej osobie. Na twarzy badanego odmalował się wyraz zmieszania. — To w takim razie... w takim razie... — Co? — W takim razie człowiek ten mógłby wskazać także... — Co mianowicie? — Adres tej pani... Odwoził ją bowiem do domu... — Ha, ha! — zaśmiał się inkwizytor z wyraźnym uczuciem zadowolenia. — Ha, ha... oczywiście, gdyby tego zaszła potrzeba... Jej adres i... inne. Od nitki do kłębka... Chodzi tylko o uchwycenie tej niteczki. Tamten tarł czoło. — Czuję — zaczął frasobliwie — że, mówiąc

tu cokolwiek, zawsze mogę powiedzieć za wiele, zatem bezpieczniej będzie zachowywać absolutne milczenie. Już ani jednego słowa więcej panowie odemnie w tej sprawie nie usłyszycie — oświadczył stanowczo. — Hm, jak wolisz, ale zwracam ci jeszcze raz uwagę, że grasz o głowę. Stawka wysoka! — Wiem o tem. — I przegrasz!

— Ha, trudno! —kończył nie bez efektownego patosu — nie narażę jednak na szwank honoru kobiety... Zapał się odtąd w bezwzględnej mutyzmie. Literalnie słowa jednego, mimo wszelkich perswazji i nalegań, nawiasem mówiąc niezbyt delikatnych, dobyć z niego nie było można. Naturalnie władze śledcze na chwilę jedną nie przypuszczały, ażeby rzeczywiście wzgląd na reputację jakiejś tam kobiety mógł być przyczyną upartego milczenia. W tych sferach niełatwo wierzą w motywy podobnej natury. Ot, zwyczajny wybieg taktyczny w celu zyskania na czasie, dla tem dokładniejszego obmyślenia podstawowej linii obrony. To jasne. Musiał się chłopiec mieć na baczności, gdyż w zamknięciu, w zupełnym odosobnieniu od świata, nie wiedział co każda nowa godzina dochodzeń przynosi.

Tymczasem rzeczywiście poszlaki zwracały się przeciw niemu w sposób zaiste niebezpieczny. Zwłaszcza zeznania służącej były dlań wciąż zabójcze. W domu tych ludzi działy się rzeczy dość osobliwe. Państwo nie żyli ze sobą w zgodzie najprzykładniejszej. Owszem, rozgrywały się między nimi sceny przykre i gorszące, a jedynie może, jak przypuszczać wypada, tylko obecność służby

powstrzymywała ludzi tych ustawicznie zdenerwowanych od gwałtownych wybuchów.

Niewątpliwie mieli coś do ukrywania. Dziewczyna, pomimo całego sprytu wytrawnej paryskiej służącej, wielu rzeczy nie umiała sobie wytłomaczyć.

I tak, na przykład, na parę dni przez katastrofą, zawołała ją pani do siebie i nieśmiało, z widocznym wysiłkiem, ukrywając głębokie poruszenie, kazała szukać jednej bardzo kosztownej broszy, która się nagle gdzieś zapodziała.

— Przewróciłam do góry nogami cały dom — opowiadała — i ani śladu. Zrobiło mi się gorąco. Znana historia: w takich razach państwo przedewszystkiem na służbę rzucają podejrzenie. Chciałem więc odrazu rzecz wyprowadzić na czystą wodę.

Mówię: Trzeba zawiadomić policję.

Pani się okropnie przeraziła.

— Za nic w świecie. Nie chcę policji w domu.

— Aha, myślę sobie, to napewno pan wnosi pocichutku pani biżuterję, a pani się wszystkiego domyśla, tylko nie chce robić skandali. Cóż? Takie rzeczy się w świecie dzieją. Pani dużo była od pana starsza. Nie dziwno, że miał sobie gdzieś przyjaciółkę na mieście. Człowiek służył po domach i niejednego się napatrzył.

— A no, mówię, nie trzeba policji, to i lepiej. Byle mnie tu nikt o taką brzydką rzecz nie posądzał.

— Nie, nie — powiada. — Nie posądzam ciebie, ani Jana. On od wczoraj do pokoju nie wchodził.

Kiedy pan przyszedł na obiad, zrobiła się taka cicha awantura, jak zawsze.

Zdawało się, że jedno drugie w łyżce wody chce utopić, ale przed nami udawali,

że niby nic... i o broszce już mowy nie było. To mnie jeszcze bardziej

przekonało, że się co do swoich myśli o panu nie myliła. Bo pewnie broszka

warta była na nieznanego się kilkanaście tysięcy franków, a tu sza...

Ale teraz to mi się inaczej cała rzecz wydaje.

— Cóż takiego?

— Że pani zanadto głośno zapewniała, jakoby Jan do pokoju nie wchodził! —

kończyła swoje zeznanie z bardzo znaczącym akcentem na ostatnich słowach.

Sędzia śledczy, który właśnie sprawą tę wziął z rąk policji, oczywiście z zeznań służącej wyciągnął odpowiednie konsekwencje. Zamknął na tem dochodzenie i akta miał już przesłać oskarżycielowi publicznemu, aż oto w gabinecie jego zjawia się zakwefiona dama.

— Mam do poczynienia pewne zeznania w sprawie człowieka niewinnia oskarżonego.

— Tego lokaja z Passy?

— Tak jest.

Sędzia uśmiechnął się lekceważąco.

— Człowiek ten noc krytyczną przepędził w mojem towarzystwie.

Drwiący uśmiech nie zniknął z dystyngowanej twarzy pana sędziego.

— Hm, proszę pani, — zaczął — w ciągu śledztwa wiele dam i to, proszę mi

wierzyć, z różnych sfer towarzyskich, zgłaszało się do nas z gotowością

ratowania tego nędznika swoją... swoją, że tak powiem, reputacją. Ha, ha...

Niestety, nie jest to tak proste, jak sobie dusze serafickie w naiwności czułego

serca wyobrażają. Zresztą, wogóle zainteresowanie się naszych pań osobą młodego

zbojca jest poprostu niesłychane, poprostu oburzające.

Zarzucają więzienie

kwiatami, nasyłają pudła cukrów, paki najwykwitniejszej bielizny, cygar,

smakołyków i, bo ja już wiem czego...

Zapewne jest to wstrętne, jest to nawet bardzo smutne, jako znamienny objaw

niezdrowych na-

strojów w społeczeństwie, ale bądź co bądź jeszcze nie zbrodnia. Tymczasem próby

świadomego wprowadzenia w błąd sprawiedliwości, to
prawem przewidziany występki,
który pociągnąć może za sobą bardzo niemiłe następstwa.
Uprzedzam zatem panią, kończył surowo, że gołosłowne
oświadczenie w podobnej
sprawie wystarczyć nie może, że właśnie każde słowo poprzec
trzeba odpowiednimi
dowodami, że w braku tych dowodów stanie pani w zatargu ze
sprawiedliwością.

— Wskażę wiarogodnych świadków — odparła stanowczo.
Sędzia wzruszył ramionami. Starął się jednak jeszcze
przekładać.

— Niech się pani zastanowi — mówił teraz tonem łagodnej
perswazji. — Niech pani
dobrze pomyśli, na co się pani naraża.
Mówię obecnie do pani — ciągnął dalej, — nie jako surowy
stróż prawa, nie jako
tępy urzędnik, suchy, obojętny na wszystko, co nie jest
bezpośrednio jego
urzędowaniem, nie jako wyciśnięty ze wszystkich uczuć
ludzkich jurysta, ale
właśnie, jako człowiek rozumiejący wszystko, co ludzkie, jako
mężczyzna
współczujący pewnym stanom psychicznej egzaltacji
niewieściej... Niech nie
wynika skandal, uwłaczający kobiecie.
Nie znam pani — mówił w tonie jakoby coraz szczerzej
przyjacielskim, — nie widzę
dokład-

nie pod gęstym woalem jej rysów i zapewne nie poznałbym
pani, gdybym ją gdzieś
kiedyś spotkał w towarzystwie, bo, wnosząc z manjer, nie
wątpię, że musisz
należć do towarzystwa, dlatego proponuję pani, ażebyś,
niepoznana, odstąpiła od
niebezpiecznej imprezy. Uczyń to, pani, póki czas.
W odpowiedzi na to odsłoniła twarz i wymieniła nazwisko.
Sędzia krzyknął zdumiony.
— Ależ takie nazwisko nosi jeden z wybitnych członków
naszej magistratury...
— To mój mąż...
Zapanowało długie, krępujące milczenie. Mężczyzna uczuł
jakby zawstydzenie.
Stał bez słowa, badając wzrokiem postać kobiety.
Była niepokojąco piękna. W swym pełnym, przebogatym
rozkwicie kraszy niewieściej
miała coś niewysłownie kuszącego. Zrodziła się w nim nagle
pożądliwość.
Rozumiał, że posiadłszy jej tajemnicę, zdobywał nad nią
przewagę, że może z
przewagi tej korzystać do granic najdalszych. Zapragnął
zyskać jej wdzięczność.
Przysunął krzesło. Siadł blisko, tak blisko, że prawie dotykał
kolanami jej
kolan.
Uczuł nieprzyzwyczajoną pokusę ujęcia w dłonie jej
drobnych, opiętych w czarne
rękawiczki rączek. Walcząc z pokusą, drżał wewnątrz. Nie

mógł opanować wzruszenia. Kiedy wreszcie przemówił, głos jego, zda się z trudem

przedzierał się przez ściśnięte gardło i dźwięczał chrapliwie.

— Szaleństwo... popełnia pani, szaleństwo.

— Trudno, nie widzę innego wyjścia. — A gdybyśmy pomyśleli?

Przysunął się jeszcze bliżej i, folgując pokusie, położył dłoń na jej rękę.

Na twarzy kobiety odmalował się wyraz bolesnej rezygnacji.

Sędzia snadź istotnie był gentlemanem nieposzlakowanym.

Nie chciał, ażeby go

kobieta posądziła o zbyt brutalne korzystanie z przewagi, jaką mu dał urząd.

Cofnął rękę dyskretnie.

— O cóż chodzi? — rzekł już nieco spokojniej. — O ocalenie łajdakowi głowy na

karku.

— Człowiekowi niewinnemu.

— Dajmy na to.

— Człowiekowi, którego kocham.

Pierzchł nastrój serdeczności. Sędzia wstał, przeszedł

poważnie przez gabinet i,

siadając przy swem biurze, rzekł z zimną grzecznością urzędową.

— Proszę, niech pani mówi, co pani ma do powiedzenia w tej sprawie.

— A tak panie — zawołała namiętnie — człowieka, którego kocham. Potępcie mnie,

rzućcie na mnie kamieniem... Stało się...

Sędzia tymczasem wypisywał: Imię? nazwisko?...

- Wiek?
- Lat trzydzieści.
- Zajęcie?
- Przy mężu. Uśmiechnął się sarkastycznie.
- No słucham?
- Długo walczyłam ze sobą, zanim zdecydowałam się przyjść tu... to jest popełnić samobójstwo cywilne...
- Zapewne — mruknął sędzia pod nosem. A potem sucho spytał.
- Dawno się państwo znacie?
- Od tegorocznego tłustego czwartku.
- Ach, tak?
- Panie sędzio. Kto zna nasze życie pełne nudy, przesytu, snobizmu, kto zna tę jakąś niezdrową, ogarniającą całe zamożniejsze mieszczaństwo manję poszukiwania mocnych wrażeń, jakąś dekadencją potrzebę mieszania się z najostatniejszą kanalją... z mętami społecznymi... Tak, ta sama dziwna, chorobliwa manja, która w salonach naszych uczyniła modnym taniec apaszów, zaprowadziła mnie do Bulier. Poszłam tam ze starszą kuzynką swoją, margrabiną de... Czy mam wymienić nazwisko.
- Na razie, jak sądzę, jest to zbyteczne.
- Dziękuję. Byłyśmy przebrane, jak więk-

szkość kobiet, które się tam bawiły. Nie przypuszczaliśmy, ażeby pod maskami mógł

nas kto w tłumie rozpoznać. Ogarnął nas szal... Wtem zaprosił
mnie do tańca
młodzieniec z twarzą Cherubina. Pociągnęła mnie jego
młodość i jego niepospolita
uroda. Uległam zmysłom. Nie wiedziałam co za jeden. Panie
sędzio, do ostatniej
chwili — do chwili, kiedy pisma opublikowały jego portret
nie wiedziałam co za
jeden. Pisywaliśmy do siebie na poste restante. Wskazywałam
mu miejsce, gdzie
mnie może zobaczyć. Niekiedy udawało mi się porwać go z
ulicy do samochodu...
Tak było nocy krytycznej. Dałam mu znać, że będę w „Opera
Comique” na
przedstawieniu „Mignon”. Widziałam ze swojej łoży jego
kochaną głowę na
galerji...
— Ale on wiedział, jakie jest pani stanowisko? — przerwał
sędzia.
— Ach, niestety. Nie umiałam tego ukryć. To też może pan
sobie wyobrazić jakie
chwile przeżyłam, kiedy czytając sprawozdania pism,
zrozumiałam, że człowiek
ten, oskarżony o morderstwo, jedynie wymienieniem mojego
nazwiska, może odrzucić
od siebie wszelkie podejrzenia. Na chwilę nie
przypuszczałam, ażeby się miał
wahać. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę oczekiwałam
awizacji sądowej, jako
rzeczy nieuniknionej. Czuję, jak się wszystko podemną
załamuje... jak w
skandalu tym pograżam się bezdennie, jak zapadam się w
ohydę bez ratunku, bez

nadziei.

Narazie, przyznaję, ubodło mię to, że jest lokajem. Stary
przesąd... Ale
wolałabym, żeby był czem innym... Myślałam, że jest jakimś
skromnym
funkcjonariuszem w prywatnym przedsiębiorstwie, co zresztą
sam mi w sposób dość
nieokreślony podszeptał. Czekałam w rozpaczy dnia, kiedy
pisma wydrukują moją
podobiznę obok portretu tego lokaja .
Ale awizacja nie przychodziła. On milczał. Wtedy w duszy
mojej zrodziły się
uczucia zgoła odmienne. Widziałam nad szyją jego
zawieszane ostrze gilotyny.. a
on milczał. Czyż mogłam się wahać? Czyż miałam się jeszcze
wstydzić takiej
miłości? Czyż nie byłoby dumą każdej kobiety być tak
kochaną, bodaj przez
człowieka jego kondycji?
Panie sędzio — wołała z emfazą — pan, który znasz ludzi
różnych kondycji,
różnych stanowisk społecznych i towarzyskich, pan który
jesteś gentlemanem w
każdym calu, powiedz mi otwarcie, z ręką na sercu, czy wielu
między mężczyznami
dzisiejszymi jest bohaterów, którzyby zdolni byli do tego, co
dla honoru kobiety
czyni ten lokajczyk?
Sędzia milczał.

— Przyzna mi zatem pan, panie sędzio, że dla ocalenia głowy takiego człowieka wolno mi było zaryzykować swoją reputację. Przyzna mi pan, że zasłużył na to najzupełniej.
Sędzio sucho zakaszłał.

— Tak... hm... zapewne... zapewne. Czy jednak jest koniecznością nieuniknioną, ażeby szanowne nazwisko pani wmieszane być miało do tej ohydnej sprawy?

— Czyż są inne sposoby ocalenia życia temu biedakowi.

— Przypuszczam... Jeżeli są świadkowie, którzy was widzieli w nocy...

— Och panie sędzio — całe mnóstwo: szofer, służba w restauracji przy halach, gdzieśmy nad ranem wpadli na... kolację.

— W takim razie... w takim razie...

— Co?

— W takim razie śledztwo mogłoby zachować najzupełniejszą dyskrecję, co do osoby pani...

Uczyniłbym to tem chętniej, że chodzi tu także o jej męża, któremu skandal

podobny zaszkodziłby fatalnie w karierze urzędniczej.

— Ach, panie... ileż wdzięczności... Ujął tkliwie jej rękę, której nie broniła.

IV.

Dzięki świadectwu pięknej pani i dyskretnej pomocy sędziego śledczego chłopak

wyszedł z więzienia wolny od wszelkich podejrzeń.
Wyszedł w tryumfie, zarzucony kwieciami i... nader ponętными
ofertami ze strony
licznych wielbicielek jego heroizmu.

Oczywiście, wybrał najponętniejszą.
Rozumiał on dobrze, że stosunek jego z piękną żoną
wysokiego dygnitarza jest bez
przyszłości, zwłaszcza po jej hazardowej interwencji w tej
sprawie. Trzeba było
skończyć od razu i kategorycznie, jak to wskazał sam sędzia w
rozmowie poufnej,
niemniej przecie bardzo stanowczej.
— Kobieta ta — mówił surowo — zrobiła dla pana wszystko,
co mogła, teraz zrób
pan dla niej coś powinien — nie kompromituj dłużej swoją
osobą damy z
towarzystwa. Najmniejsza nieostrożność z pańskiej strony
mogłaby rzucić niezmytą
plamę na jej honor.
Niepodobna się było upierać.
Z drugiej strony bogata rentjerka, wdowa bezdzietna po
zmarłym niedawno
bankierze, ofiarowała dzielnemu chłopcu swoją rękę, serce i
majątek. Chłopak,
niewiele myśląc, zgodził się ostatecznie na małżeństwo z
ciepłą wdówką.
Była to właścicielka owego pałacyku na Passy. Po śmierci
męża zwinęła dom, a
pałacyk z całym urządzeniem odnajęła tym dwojgu
nieszczęśnikom. Obecnie,

wstępując powtórnie w związki małżeńskie, postanowiła wrócić do dawnej siedziby. Stało się więc, że Jan wszedł jako pan do domu, w którym tak niedawno jeszcze był służącym. Tak to fortuna kołem się toczy. Zresztą przyznać trzeba, że eks-lokaj w całej pełni zasłużył na podobne łaski fortuny.

Założył szczęśliwie ognisko rodzinne w miejscu, które było niedawno teatrem najokropniejszej tragedji.

Czy tragedji?

Pan Jan niewątpliwie do ludzi przesądnych nie należał. Przypuszczam też, że o zestawieniu tem zgoła nie myślał. Ale ja nie mogłem się oprzeć męczącym przewidzeniom.

Boć ostatecznie, po stwierdzeniu jego niewinności, sprawa zabójstwa pozostawała znowu niewyjaśniona.

Morderstwo na Passy było ciągle zagadką; Jean Reinbrach na ten temat napisał w

„Gil Blasie” fantastyczną nowelkę... z duchami.

Istotnie nie znaleziono najniklejszych nawet śladów, wskazujących, że

ktokolwiek, prócz owego lokaja, zbliżał się nocy krytycznej do domu. A szukano

doprawdy z całą zaciekłością. Zmobilizowano najprzebieglejszych, najbardziej

pomysłowych agentów. Na czystym piasku rozpoznawano tropy szczura, wróbla, ale ludzkiej stopy dopatrzeć się nie było podobna. Niemniej przecież, jak stwierdzono kategorycznie, zginęły pieniądze, kosztowności... Daremnie wysiłał się genjusz śledczy. Wreszcie „Sprawiedliwość” machnęła ręką. Zamknięto dochodzenia. Ja jednak tembardziej zawziętem się, ażeby

dotrzeć do jądra kwestji. Czułem, że się nie uspokoję, póki nie poznam całej rzeczywistej prawdy. Nie mogłem uwierzyć w duchy pana Reinbracha, a nie chciałem się zgodzić na wszelkie inne już nazbyt policyjne hipotezy. Niekoniecznie potrzeba ingerencji duchów, ażeby się stała rzecz, która się stać była powinna. Człowiek w sobie samym, we własnym sumieniu ma mściciela. To stanowi istotę fatalizmu psychologicznego... Ale co się stało z rewolwerem? Jak opętaniec krążyłem koło domu na Passy. Zbieg okoliczności pozwolił mi wreszcie jeszcze raz wstąpić osobiście na scenę ponurej zbrodni. Hrabia Grzymała, jak się dowiedziałem, z obecnym właścicielem pałacyku miewał jakieś interesy. Były tam mianowicie przepiękne stare gobeliny, które hrabia

chciał nabyć dla pewnej ambasadorowej. Pertraktacje ciągnęły się już od dłuższego czasu. Uprosiłem go, ażeby mnie wysłał, jako eksperta do ocenienia owych zabytków sztuki. Propozycję przyjął skwapliwie, chodziło bowiem o ustalenie, czy to obrazy istotnie samego Lebruna, czy też są to późniejsze kopje ze znanych dzieł tego artysty. Oczywiście dla mnie było to tylko pretekstem. Nie myślałem ani o Lebrunie, ani o gobelinach, ani o pani ambasadorowej. Chodziło mi o obejrzenie tych miejsc i poznanie człowieka, który tam obecnie przebywa.

Pan Jan poznał odrazu we mnie jednego z nielicznych gości dawnych swoich państwa i, co najciekawsze, bynajmniej się z tem nie ukrywał. Owszem, sam zaczął mówić o sobie z całą otwartością. Patrzyłem na niego, przyznając, z prawdziwym zdumieniem. Człowiek ten mógł w żywe oczy zaprzeć się swego pochodzenia, mógł śmiało i z najlepszym skutkiem, wmawiać wszystkim, że urodził się w pałacu, że od dziecka przygotowywał się do stanowiska, jakie obecnie zajmuje. On się jednak nie wstydził swojej przeszłości. Skoro tedy zaczęliśmy z tej beczki, rozmowa potoczyła się około wydarzeń, które tak bardzo na losach jego zaważyły.

Zapomnieliśmy całkowicie o gobelinach, o hrabim, o
ambasadarowej, o wszystkim,
co nie miało bezpośredniej styczności ze sprawą.
Pałac wonne papierosy egipskie i popijając czarną kawę,
siedzieliśmy w jego
gabinecie od kilku godzin, a on najszczególniej opowiadał
przejścia swoje od
fatalnej chwili aresztowania do tryumfального wyjścia z
więzienia, co właśnie
wyżej zgodnie z relacją jego przytoczyłem.
— Obecnie — mówił — czuję się najszcześliwszym
człowiekiem pod słońcem. Mam
dobrobyt — więcej — zamożność, mam dobrą, kochającą
żonę, która mnie niebawem
uczyni ojcem.

Było lato, jak wtedy, kiedym tu wszedł po raz pierwszy. Przez
otwarte okno
wnikał silny zapach róż rozkwitłych. Słońce kłoniło się ku
zachodowi i już
różowe blaski siało na sprzęty w pokoju. Położyła się smuga
różowa na
inkrustowanym stoliku od czarnej kawy.
Nagle smugę tę przeciął cień siny. Padła nagle między nas
ciemna plama o
dziwacznych, wydłużonych kształtach.
Nie wiem dlaczego, zjawisko przejęło mnie dreszczem.
Obejrzałem się.
Na oknie siedział ogromny kruk i, przechyliwszy łeb, patrzył
na nas chytrze i
złośliwie, jakby przysłuchiwał się naszej rozmowie.

Wstrętne ptaszysko!
Obszarpany, zgarbiony, robił wrażenie jakiegoś ponurego
łapserdaka.
Rzeczywiście, powyrywane miał pierze w wielu miejscach.
Wśród czarnej jego szaty
świeciły na piersiach jasne plamy nagiej skóry.
Doznałem uczucia niewypowiedzianej odrazy.
Gospodarz mój zbladł i usta mu drżały.
— W złą chwilę wymówiłem słowo: szczęście! — zaczął
cichym, lęklwym tonem — w
złą chwilę.. bo ilekroć ukaże mi się ten potwór przebrzydły,
zawsze spotkać mnie
musi coś okropnego.
Nastrój jego udzielił mi się w całej pełni

zwłaszcza wobec ponurych wspomnień, które mi falą
napłynęły do głowy.
Kruka tego już widziałem wtedy.
Ona, jak to wspomniałem, oprowadzała mnie po domu.
Wchodziliśmy właśnie do tego
samego pokoju, kiedy nagle usłyszałem łopot skrzydeł. Coś
ciemnego zatrzepotało
w oknie.
Do ogrodu sfrunął czarny ptak.
Rozległo się jeszcze w oddali kilkakrotnie jego chrapliwe
krakanie.
Już wtedy, pamiętam, widok kruka podziałał na mnie jakby
przygniatająco, obecnie
pod wpływem pewnych skojarzeń doznałem wprost
zabobonnego przerażenia.

Jednakże ludzie tak zwani rozsądni nawet wobec samych siebie niechętnie przyznają się do zabobonnych przerażeń. Uważałem się za człowieka rozsądnego.

Kruka przesąd gminny uczynił zwiastunem nieszczęść i żałoby. Ptak złowróźbny!...

Mnie wszakże wypadało stanąć po nad gminnym przesądem i nie przejmować się widokiem głupiego ptaka, choćby tak obrzydliwego, jak ten, który siedzi tam właśnie na oknie.

Wstałem żywo i machinalnie wyciągnąłem rękę w stronę kruka, ażeby go spłoszyć.

Poderwał się ciężko z jakimś przemierzłym, złym wrzaskiem i zapadł w ogrodzie między drzewami.

— Ach, zmora przeklęta! — rzekł jakby z ulgą mój gospodarz.

— Zmora?

— Ach, panie, jak jabym chętnie łeb ukręcił tej czarnej bestji... ale.

— Cóż?

— Boję się!

— Kruka?

— Panie, to potwór piekielny, nie kruk! To szatan we własnej osobie. Znają go tu w dzielnicy i wszyscy się boją, jak złego ducha.

— Ach, co za głupstwo!

— Nie, panie to nie głupstwo. Ptak ten jest własnością jednego starego dziwaka,

który tu od niepamiętnych czasów mieszka w sąsiednim domu. Od niepamiętnych też lat to jego wstrętne ptaszysko włóczy się po dzielnicy, jak pies bezdomny, gospodaruje po ogrodach, zagląda mieszkańcom do okien, a gdzie tylko zajrzy, tam napewno zdarzyć się musi coś okropnego. Panie — ciągnął dalej pełen przestachu — nie w czas widocznie o swoim szczęściu mówić zaczęłem, kiedy ten potwór przyszedł nas podsłuchać... I tak już... Urwał. — Co? — At. Nie mogę mówić, ale czuję, że wisi nademną rzecz straszna. — Z powodu kruka?

— Tak, panie. Chciałem mu tu kiedyś w łeb strzelić. Porwałem już dubeltówkę, ale mnie żona za rękę zatrzymała. — Daj pokój — mówi — jego się ołów nie ima. Innym sposobem także mu nic nie zrobisz. Różni już próbowali. Jemu nic, a kto tylko na potwora rękę podniesie, może sobie zawczasu trumnę zamówić. Tu już uczułem potrzebę stanowczego zareagowania przeciw naiwnym wywodom gospodarza. Ten miły chłopak, mimo wszelkich pozorów wyższości duchowej, w gruncie rzeczy pozostał człowiekiem gminnym. Zacząłem mu wykladać, że jego

uprzedzenia co do kruka są bezpodstawne. Jest to zwyczajny ptak z rodzaju wróblowatych, znany w zoologii pod nazwą *Corvus corax*. Z usposobienia ponury, w stanie dzikim nie oznacza się bynajmniej towarzyskością. Obłaskawiony jednak, staje się łagodny, daje się układać jak pies, przyczem ujawnia wcale niepospolitą inteligencję. Z drugiej strony znowu, przyznać trzeba, posiada on obyczaje i nałogi mniej sympatyczne: kradnie mianowicie, jak złodziej zawodowy.

— Kradnie? — wykrzyknął pan Jan i snadź nagle zrodziła mu się w głowie myśl wielkiej doniosłości, bo tarł czoło, jak człowiek, który się waży na czyn stanowczy.

Chwycił mnie za rękę i ciągnął za sobą do ogrodu. Z ogrodu przeszliśmy na niewielkie pod-

wórko, gdzie w głębi, łączące się tylną ścianą z sąsiednią posesją, widniały stajnie, w tej chwili puste, bo mieszkańcy pałacu własnych koni nie trzymali.

Po drodze wpadł do jakiejś komórki i wyszedł stamtąd uzbrojony w siekiere.

— Co pan zamierza?

— Nic! — odpowiedział. Skinął na mnie, ażebym za nim podążał. Po drabinie wbiegł

na dach stajni, a stamtąd przez małą okrągłą lunetę barokową
przecisnął się na
poddasze.
Poszedłem jego śladem.
Zastałem go już przy pracy. Rąbał zawzięcie nad sobą deski,
ułożone na tramiku,
łączącym krokwie górnego wiązania. Był to zapewne dawny
gołębnik, zbudowany u
wylotu dwóch małych otworów szczytowych.
Sypał mu się na głowę kurz i drzazgi z desek z furją rąbanych.
Nagle bierwiono
prostopadłe do jętki, a utwierdzone między wierzchołkami
krokwi, uderzone
obuchem z niesłychaną gwałtownością, wyskoczyło z nasady,
a wraz rozsunał się
cały pomost i do nóg naszych zaczęły stamtąd spadać drobne
przedmioty świecące.
W mroku niepodobna było ich rozpoznać.
Uderzył obuchem w dach nad sobą i kilka dachówek
wyleciało w powietrze, a przez
otwór wdarły się ostatnie promienie zachodzącego słońca.
Przy niepewnym blasku
tego światła ujrzeliśmy le-

żące na polepie złote pierścienie z brylantami, bogate
zausznicę, broszę, a
także wiele bezwartościowych guzików błyszczących.
Wśród przedmiotów tych poznałem nagle sakiewkę ze złotej
łuski, w którą ona
schowała ów czek przezemnie przyniesiony.
Pamiętam doskonale, jak go złożyła w kilkoro...

Otworzyłem sakiewkę: Znalazłem tam papier tak samo złożony.

Oczom własnym wierzyć nie chciałem...

Pan Jan tymczasem walił w krokwie w dalszym ciągu.

Wysunął się i spadł mu na głowę prześliczny, świecący, niklowany rewolwer sześciostrzałowy.

Ach! wiedziałem już wszystko!

On kuł dalej. Ciągłe sypały się na nas srebrne i złote drobiazgi różnej wartości.

— Jest, jest, — krzyknął wreszcie uradowany.

Pokazał mi mały pierścionek z soliterem.

— A kanalja! — mówił zdyszany — a, zmora przeklęta!

Ukradł nam to i byłby nas doprowadził do takich scen okropnych, jakie rozgrywały się między tamtem nieszczęsnem małżeństwem!

— Tamci nie byli małżeństwem! — rzekłem głucho

— Kochankowie?

— Nie.

— Więc?

— Byli to... syn i matka! Otworzył szeroko oczy.

— Nie wiedzieli o tem?

— Owszem. Ja im to musiałem powiedzieć. Spotkali się na bruku paryskim, nie wiedząc nic o sobie, bo ojciec jego, a jej mąż, ukrywając się przed sprawiedliwością, stosownie do potrzeby zmieniał nazwiska. Przed ślubem trzeba

było uporządkować akta stanu cywilnego. Wiozłem im tę wiadomość z dalekich krajów. Po drodze trapiła mnie myśl, że wiozę im wyrok śmierci. Sądziłem, że jak Edyp, król ...

— Wiem, widziałem Edypa w Odeonie,
— Sądziłem, że oczy sobie wyłupi — ciągnąłem dalej. — Zmieszał się istotnie na razie. Przeglądał papiery, jakby chcąc sprawdzić, czy sobie z niego żartów nie stroję, wreszcie rzekł z uśmiechem, który mi krew zmroził w żyłach:

— „No, wszystko jedno! Chciałem iść na utrzymanie do żony, to teraz mamusia będzie musiała wziąć na siebie obowiązek dostarczenia mi środków do wygodnego życia”.

Pan Jan zapadł w poważną zadumę.

— A jednak... a jednak — rzekł po chwili — jednak jeżeli oni mogli ze sobą...

ten syn z matką... no wie pan... jeżeli wiedzieli o tem... i nic... ach, do

kroćset, to ten kruk nie jest zwykły

kruk... to sumienie tych, którzy sumienia nie mają. Chciałem mu łeb urwać za zmartwienia, jakie miałem z powodu tego pierścionka, ale niech lepiej żyje — może się jeszcze przydać... Dziś wielu ludzi sumienia nie posiada.

Zbierał w połę surduta zgromadzone przez kruka skarby —
istne skarby Golkondy.

Zwrócił się do mnie:

— Może i pan wybierze sobie jaki drobiazg... bardzo proszę...

— Dziękuję. Wzruszył ramionami.

POJEDYNEK AMERYKAŃSKI.

Pan August był człowiekiem szybkiej decyzji.

Rano, natychmiast po tem fatalnem wydarzeniu, wysłał przez
służącego list do

pana Karafki, proponując mu spotkanie w jakimś neutralnem
miejscu. Chciał tem

uprzedzić wizytę oficjalną świadków.

Rozumiał doskonale, jak wysoce krok ten jest w danym
przypadku niepoprawny, ale

z drugiej strony, znając usposobienie tego człowieka,
przypuszczał, że oceni

jego skrupuły i przyjmnie propozycje bez wszelkiej
formalistyki, jako wyjście

dla wielu względów jedynie wskazane.

Zresztą pisał wyraźnie: „Zawiniłem wobec pana śmiertelnie,
nie uchylam się też

od odpowiedzialności. Przyjmuję wszelkie, wynikające ztąd,
konsekwencje. Wiem,

jak sprawa między nami rozstrzygnąć się musi. To
nieuniknione. Sądzę jednak, że
we wspólnym interesie leży, ażebyśmy w istotę przyczyny nie
wtajemniczali osób
trzecich, na czym ucierpieć by tylko mogły istoty niewinne.
Dlatego wbrew
wszelkim zwyczajom ośmielam się zapropo-

nować panu widzenie osobiste. Wierzę bezwzględnie w
pańską prawość — jeżeli i
pan choć w części posiada zaufanie do mego honoru, zechce
mi wyznaczyć czas i
miejsce, ażebyśmy mogli wspólnie zapobiedz
ewentualnościom niepożądanym.

"Niech nie odczuwają tragizmu sytuacji istoty niewinne".
Zdanie ostatnie podkreślił.

Miał na myśli dwoje cudnych, jak aniołki dzieci pana Karafki,
które on kochał
nad życie a na które spadłoby odjum skandalu, gdyby rzecz
doszła do wiadomości
publicznej.

Pozatem, szczerze mówiąc, myślał także o własnej żonie,
bezgranicznie w nim
zakochanej i bezgranicznie ufającej w jego miłość
niezmienną. Zresztą i on ją
kochał bardzo. Owszem uwielbiał ją niemal do zaślepienia i te
uczucia dla
dozgonnej towarzyszkii życia bynajmniej się nie zmieniły.
Romans z Klarą był,
tylko jakimś dzikiem oszołomieniem zmysłów.

Pociągnęła go ku sobie niewysłowionym powabem ciała.
Uroczyła przedziwną
harmonją kształtów, liljową białością ramion i mocną purpurą
ust soczystych.
Od pierwszego spotkania fascynowały go te pełne, czerwone
usta pięknej kobiety.
Całej mocy woli używać musiał, ażeby zapanować nad pokusą
porwania z nich
pocałunku, jak rabuś, jak dzikus, bez względu na czas i
miejsce. Pod wpły-

wem fascynacji nieodpartej krążył około niej bezustannie.
Szukał jej
towarzystwa; chwycił się wszelkich możliwych pozorów,
ażeby się znaleźć obok
niej w teatrze, na balach, rautach, na zebraniach prywatnych.
Aż razu pewnego w
domu ludzi prawie obcych, gdzie zaprosił się prawie wbrew
wszelkim wymaganiom
przyzwoitości, odprowadzając panią Klarę od kolacji, w
chwili, kiedy
przechodzili przez jakiś mały, niezbyt rześkie oświetlony
gabinecik, nagłym
ruchem przechylił w tył jej piękną głowę i wpił się ustami w
upragnione,
czerwone usta.
— Jeszcze! — szepnęła omdlewającym głosem.
Odtąd żyli oboje, jak zaczadzeni.
Mijały tygodnie ustawicznego podniecenia, zdenerwowania,
zapamiętania się,
szalu, niepoczytalności.

Tak. Było w ich stosunku coś z niepoczytalności ludzi,
dotkniętych szaleństwem.
Oboje zdawali sobie z tego sprawę, że to tylko nic
nieznaczący epizod w ich
życiu. Nie mówili, że się kochają na wieki. Nie pragnęli zmian
jakichkolwiek w
dotychczasowym układzie stosunków. Nie myślał o zerwaniu
z kochającą i kochaną
żoną August, a zwłaszcza nie myślała o zerwaniu z mężem
pani Klara, która
trzymała o nim bardzo wysoko, jako o człowieku, o ojcu
swych dzieci, o podporze
rodziny. Miała ona nader wygórowane pojęcie o jego
zdolnościach finansowych,
harcie woli,

niepożytej energii i wszystkich przymiotach, które cechować
powinny prawdziwego
mężczyznę. Żywiła też dla męża wielki szacunek i niekłamane
przywiązanie.

Wiedziała również dobrze, że człowiek taki musi być w
pewnych wypadkach naprawdę
groźny i bezwzględny, na dawód czego przytaczała przykłady
z jego życia, grozą
wprost przerażające. Nie mniej przecież, jakby chwilami
pozbawiona poczucia
rzeczywistości, igrała z niebezpieczeństwem w sposób
szaleńczy. Czasami zdawało
się, że owo igranie z niebezpieczeństwem stanowi organiczną
potrzebę jej

nieposkromionego temperamentu, że świadomość, wiszącej nad głową, burzy jest jakby nową podniętą, jakby narkotykiem, potęgującym napięcie rozkoszy.

Miała pani Klara w sobie coś demonicznego, to nie ulega wątpliwości.

Niekiedy August, w chwilach powracającej przytomności, przywoływał ją do upamiętania, ale ona, jakby nie słyszała słów rozsądku, zarzucała mu białe ramiona na szyję i podając półrozchylone pożądaniami usta, wołała:

— Całuj, całuj!

Przymykała oczy omdlewająco...

Niepodobna było jemu, mężczyźnie pamiętać o zachowaniu bezpieczeństwa, skoro ona, kobieta, chciała o tem zapomnieć.

Pani Klara, korzystając z tego, że mąż jej wieczory spędzać zwykł w klubie, wprowadziła

Augusta do własnego małżeńskiego mieszkania. Słodkie tête à tête przeciągały się

lekkomyślnie nad miarę. Kiedyś August, wychodząc od Klary po północy, skrzyżował się w bramie z panem Karafką.

Grywali z sobą często w klubie przy jednym stoliku. Powziął nawet dla tego

człowieka szczególniejszą sympatię za jego zimną krew i wogóle za nadzwyczajną,

nieskazitelną poprawność w zachowaniu się przy kartach.

Był to gentleman w każdym celu. Jeżeli się nie zbliżyli ze sobą, to tylko dlatego, że August odczuwał mimowolny odruch zażenowania, wobec człowieka, któremu, jak mniemał, wyrządzał krzywdę. Wogóle nie mógł on pojąć, czem się to dzieje, że tak często mężowie wchodzą w najbliższą przyjaźń właśnie z najbliższymi przyjaciółmi swych małżonek. Jeżeli mężów można tłumaczyć nieświadomością prawdziwego stanu rzeczy, to ze strony przyjaciół jest to już stanowczo dowodem braku uczuć delikatniejszych. August na tym punkcie był raczej przeczulony. Unikał zatem serdeczniejszego stosunku z mężem Klary, nie mniej przecież kłaniali się sobie bardzo uprzejmie. Dnia tego pan Karafka nie ukłonił się Augustowi. Czy go nie widział? Czy nie poznał? Ognie uderzyły mu do głowy. Wszakże tak niewiele brakowało, ażeby się spotkali, tam...

Ach, balansowali nad przepaścią. Czy nie zakończy się to fatalną katastrofą? Wczoraj... stało się! Państwo Karafkowie właściwie nie byli w Warszawie, jak się to mówi, urzędzeni. On, przedstawiciel jakiejś wielkiej firmy amerykańskiej, jeździł po całej kuli ziemskiej, mieszkając kolejno we wszystkich większych miastach świata. W

Warszawie zatrzymali się dłużej. On, zawierając stosunki handlowe i towarzyskie — ona oczywiście tylko towarzyskie. Wprowadzono go do klubu „Jazdy podobłocznej”, gdzie grywał dosyć wysoko — pani bywała na prozonych obiadach, kolacjach, rautach. Podejmowano wogóle w Warszawie tę parę wszechświatowych polaków nader gościnnie. Państwo Karafkowie jednak u siebie nie przyjmowali. Mieszkali ciągle w pensjonacie, gdzie zajmowali duży, pięknie umeblowany salon i duży pokój sypialny. Nie było tam wszakże przedpokoju. Do salonu wchodziło się wprost ze schodów, a miał on inne drzwi, łączące go z wielkim apartamentem, zajmowanym przez pensjonat. Było już dobrze po pierwszej w nocy. August w kapeluszu i palcie miał się ku wyjściu. Klara w prześlicznym różowym negliżu odprowadziła go do drzwi. Zarzuciła mu obnażone ręce na szyję.
— Całuj!

Nagle zgrzytnął klucz w zatrzasku i we drzwiach stanął pan Karafka.
Odskoczyli od siebie gwałtownie.
Zduszony, chrapliwy okrzyk wyrwał się z gardła męża, i wnet w ręku jego błysnął rewolwer.
August oparty o ścianę widział wymierzoną ku sobie lufę.

Trwało to chwilę. Twarz męża mieniła się. Z ciemno fioletowej stała się stopniowa blada, jak chusta. Grymas niewypowiedzianego bólu wykrzywił mu usta.

Opuścił broń.

— Nie — rzekł głosem drżącym, hamując jakieś ogromne wewnętrzne wzruszenie — nie, ja pana teraz nie zabiję. Tam, w sąsiednim pokoju śpi dwoje niewinnych dzieci. Strzał zbudziłby je. Przybiegłyby wylękłe, przerażone... Ha, ha... okropne! Trup gacha mojej żony!... trup kochanka ich matki! Nie, nie! Do końca życia nie mogłyby zapomnieć tego momentu straszliwego... Wrażenia przeżyć podobnych nie zatrze w pamięci nic, nic!.. Nie wolno mi dzieciom moim na progu ich życia zostawiać takich wrażeń przeklętych. Nie chcę skandalu za nic w świecie.

Urwał. Jakby dla ostatecznego opanowania się, milczał czas jakiś. Jakoż rzeczywiście, kiedy po chwili zaczął znowu mówić, głos jego pozbawiony już wszelkiego drżenia, wszelkich znamion emocji, dzwierał równo i stanowczo.

— Tak — rzekł twardo — nie dopuszczą do skandalu! Ta pani jest matką moich dzieci, pragną więc ażeby nie dowiedziały się nieszczęsne istoty, że matka ich

nie zasługiwała na szacunek...

Pan — kończył, mierząc Augusta groźnym spojrzeniem —
pan, jak mniemam, zostawi
mi swój adres...

— Ach, proszę...

Z uczuciem niewysławionej ulgi złożył na stoliku przy
drzwiach swoją kartę i
wyszedł.

Oparta o przeciwną ścianę salonu w cudnym swym różowym,
rozwartym na piersiach,

szlafroczką stała Klara blada, nieruchoma jak posąg.

Była jakby zahypnotyzowana, jakby sparaliżowana.

Nie drgnęła, kiedy opuszczał próg ich mieszkania.

August nie pamiętał, jak zbiegł ze schodów, jak długo czekał
w bramie na stróża.

Dopiero znalazłszy się na ulicy, zaczął z trudem zbierać
rozproszone myśli.

— Stało się — powtarzał uparcie.

Stało się. A wiedział, że to, co się stało, nie może pozostać bez
następstw
doniosłych.

Żądanie adresu było wyraźne. Mąż zdradzony zamierza
przysłać wyzwanie kochankowi
swej żony.

Doskonale. To jest pospolite wyjście ludzi przyzwoitych.

August pragnął okazać

się przyzwoitym niepospolicie. Uczuł potrzebę jakichś
poświę-

ceń, jakiegoś podniesienia się we własnym mniemaniu.

Egzaltował się...

Pan Karafka imponował mu zimną krwią i męską mocą panowania nad sobą.
Pan Karafka rozrzewnił go tą troską czułą o dzieci, tą niezwykłą delikatnością
uczuć, manifestujących się tak szlachetnie w myśli o zachowaniu im koniecznego szacunku dla matki. W takiej chwili!.. To było doprawdy wspaniałe. August jest
tem poniekąd upokorzony. Czyn, który popełnił, bezwzględnie biorąc, ha, ha,
ha... no, bądźmy szczerzy, nie przynosi ujmy honorowi... Czyn ten względem tego
człowieka jest zbrodnią. Zbrodnia wymaga ekspjacji! August jest gotów na
najdalej idące zadośćuczynienia.
Wszystko, czego pokrzywdzony człowiek zażądać może!.. Potrzebował ruchu, powietrza, przestrzeni. Wybiegł za miasto, na pola.
Nad ranem dopiero wrócił do domu z powziętem postanowieniem.
Niewątpliwie pan Karafka jest człowiekiem niezwyklej determinacji. Takie wszakże
robił wrażenie całym swoim zachowaniem się. Pani Klara nadto opowiadała
tylokrotnie kochankowi, że mąż jej jest zwolennikiem pojedynków amerykańskich,

że uznaje je za jedynie posiadające sens i rację bytu; że nawet, jak
przyпуска, w takim pojedynku z nim zginął jej pierwszy narzeczony.

Oczywiście jest to tylko domysł daleki, bo mężczyzna tego, co on pokroju, nie zdradzi lekkomyślnie tajemnicy, którą powinien zabrać ze sobą do grobu.

— O, nie masz pojęcia — opowiadała, patrząc na kochanka przerażonymi oczyma, — jakie okropne rzeczy kryć się muszą w sumieniu tego człowieka.

August nie cofnie się przed pojedyńkiem amerykańskim. Owszem, pragnie tego właśnie najgoręcej. Romans z Klarą, to straszliwe jakieś rozdarcie jaźni, to dzielenie całej istoty duchowej między dwie kochane kobiety wyczerpało go ostatecznie.

Niech się to skończy odrazu i kategorycznie.

Wyciągnąć węzełek!..

Gdyby ta cała głupia sprawa miała nabrać rozgłosu, stać się przedmiotem plotek w salonach i salonikach, dojść do wiadomości jego żony...

Nie. Do kroćset, życie stałoby się naprawdę niemożliwe.

Uciąć łeb diabłu... i to jednym zamachem.

W tym nastroju napisał list do pana Karafki i nie bez serdecznego niepokoju czekał na powrót służącego z odpowiedzią.

Ha, trudno, nie mamy tej angielsko-amerykańskiej tresury, która pozwala na zachowanie pozo-

rów obojętności w chwilach najwyższego podniecenia nerwowego.

Pan August miotał się niecierpliwie po pokoju, przewracał meble, skubał nerwowo wąsy.

Służący nie wracał. Minuty czekającemu wydawały się wiecznością.

Tak bardzo pragnął zgody na propozycję osobistego widzenia się.

Bo ostatecznie — rozumował — jeżeli będzie chciał załatwić sprawę formalnie — z sekundantami, protokółami i co za tem idzie, to i tak jeszcze możnaby, po

wzajemnem porozumieniu się, ukryć istotną przyczynę zatargu. Po co ci panowie

mają koniecznie wiedzieć, że w grę wchodzi kobieta?

Stają przecież ludzie naprzeciwko siebie z bronią w ręku dla tysiąca innych powodów.

Nie wątpił, że pan Karafka, ze względu na dzieci, skwapliwie chwyci się tej myśli.

Służący wrócił bez listu.

Pan August wpadł na niego z furją.

— Dlaczegoś tak długo siedział?

— A bo ten pan spał, proszę jaśnie pana! Spał? Szczęśliwy! Ja oka nie zmrużyłem.

— Więc widziałeś się z tym panem?

— A no, poczekawszy, wyszedł do mnie na schody, wziął list...

— I co?

— A cóż, przeczytał i powiedział, że sam do jaśnie pana zaraz przyjdzie, tylko się ogoli.

Przyjdzie! Tak, to jest ten człowiek! Człowiek mocny!
Przyjdzie sam. Śmiało, bez
podejrzeń. Załatwi sprawę odrazu... To lubię... Ach!
Czekał spokojniej, zwłaszcza, że nie czekał zbyt długo.
Pod oknami ryknęła trąba samochodu, a niebawem zaturkotał
dzwonek w przedpokoju.

— On!

August wyprostowany, solenny, stał przed biurkiem.
Skłonili się sobie zdaleka.

— Panie hrabio — zaczął pan Karafka — korzystając z
łaskawej propozycji,
pośpieszam stawić się osobiście.

— Panie, — przystąpił odrazu do rzeczy August — mówiła mi
pańska żona, że uznaje
pan tylko pojedynki amerykańskie...

— Ach! — przerwał tamten — rzeczywiście; wszystko inne
jest jedynie śmiesznym
konwenansem, zabawką...

— Więc?... ..

— Ale... ale, nie wiem, czy panu wiadomo, że jestem
przedstawicielem wielkiego
amerykańskiego towarzystwa ubezpieczeń „Jason”.

— Nie rozumiem...

— Że zatem podpisanie jakiejś poważniejszej deklaracji przez
pana, panie hrabio,
obowiązywałoby mnie, wobec naszego towarzystwa, do
pewnych...

— Co?

— Oczywiście, mowa tu być może tylko o transakcji poważnej.

August stracił panowanie nad sobą odrazu. Nie zważał na to, że podniesienie głosu może obudzić czujność domowników, że wywoławszy awanturę, nie ukryje już tego, co tak bardzo pragnął zachować w tajemnicy.

Wrzasnął, co sił w pierwsich:

— Jan!

A kiedy służący stanął we drzwiach, wskazał mu ręką pana Karafkę i

najordynarniej w świecie krzyknął:

— Za łeb!.. i za drzwi!

Gentleman pełnym godności ruchem powstrzymał służącego i, zwracając się do

Augusta, mówił spokojnie:

— Niech mu pan każe odejść, mam pewne wyjaśnienia.

A po odejściu Jana:

— Panie hrabio! Przeliczyłem się. Zapomniałem, że w kraju tym pokutują jeszcze

różne idealizmy i przesady średniowieczne, dlatego muszę odkryć przed panem

niektóre nasze tajemnice komercyjne. Ha, trudno, dziś nadmierna konkurencja

zmusza ludzi interesu do podstępów. Dzieje się to we wszystkich branżach. Ten z

pojedyńkiem amerykańskim udawał się wszędzie dotąd doskonale. Co pan chce,

ludzie bogaci kochają pieniądze, ale

kochają także życie... Pan się uniósł... Rozumiem to... do
pewnego stopnia. Nie
chcę też, ażeby pan trzymał o mnie gorzej, niż na to zasługuję:
Ta pani nie jest
bynajmniej moją żoną.
— Czemże jest?
— Agentem Towarzystwa „Jason”, jak ja.
— A dzieci?
— Wynajęte.
— Hm, pokaż pan w takim razie deklarację — pogadamy...

BEZ SKRUPUŁU.

Nie należy to zapewne do zwyczajów rycerskich
przechwalanie się z odniesionych
zwycięstw miłosnych, jest natomiast bardzo powszechnym
zwyczajem wśród pewnej
grupy młodzieży, zbierającej się w pewnej kawiarni na rogu.
Kawiarnia ma opinię
przybytku artystyczno-inteligenckiego, a owa grupa
młodzieży — to jakoby
istotnie artyści wszelkich zawołań, którzy też swoim stałym
przebywaniem w
zakładzie wyrobili mu tak zaszczytną w mieście opinię.
Rzeczywiście wielu z nich przesiaduje w kawiarni jak dzień
długi i jak długie

bywa trwanie jej nocnego funkcjonowania. W miesiącach
letnich przeciąga się to
zazwyczaj do świtu, można tedy bez wielkiej przesady
utrzymywać, że panowie ci,
przepędzając tam kawał dnia i całe noce, innego już miejsca
prawnego
zamieszkania nie potrzebują. Tam otrzymują korespondencję
osobistą, tam
przyjmują wizyty, tam załatwiają interesy finansowe, tam
wreszcie w chwilach
natchnienia tworzą — piszą poematy, romanse, tragedje;
rysują karykatury

dla pism ilustrowanych, układają rewuety dla teatrów
minjaturowych, lub
komponują symfonie dla siebie.
O stały brak stałego miejsca zamieszkania złośliwi posądzali
zwłaszcza Lola
Kaczeńca, poetę lirycznego i nowelistę, który wprawdzie dużo
w kawiarni tworzy,
lecz jakoś niewiele na płody owej muzy kawiarnianej
znajdował nabywców, z tego
więc powodu często wpadał w lekkie, wobec licznych świata
wymagań zażenowanie. Z
czasem wszakże siłą przyzwyczajenia, przestał się żenować
zupełnie i dla swych
wymagań światowych wyrobił w sobie coś w rodzaju
filozoficznej obojętności, z
czem chętnie popisывał się przed otoczeniem, a co znowu
otoczenie słusznie, czy
niesłusznie, nazwało zdecydowanym cynizmem.

Rzeczywiście pozory za tem przemawiały. Lolo Kaczeniec wywnętrzył się niepotrzebnie przed wszystkimi ze swoich najpoufniejszych przeżyć osobistych. Opowiadał o tem szeroko i długo nietylko bez koniecznej potrzeby, ale, jakby z pewną chętnością, choć niekiedy zachowanie się jego w danych okolicznościach do najpoprawniejszych nie należało. Mówił o swoich mniejszych lub większych wykroczeniach przeciw ogólnie przyjętemu kodeksowi towarzyskiemu, niekiedy nawet powiedzmy po cichu i innemu w sposób rozbrajająco swobodny, jak gdyby pozbawiony był całkowicie poczucia odpowiedzialności moralnej.

Nie było to bynajmniej pozą dekadencją, lecz najistotniejszą potrzebą jego organizacji duchowej. Lolo w rozmowach towarzyskich był naprawdę szczery i prosty — na kłamstwa pozwalał sobie tylko w literaturze. Zapewne nie każde ordynarne łgarstwo jest już koniecznie twórczością artystyczną, niewątpliwie jednak w akcie twórczym tkwi wiele z jego istoty pierwiastków najbardziej zasadniczych. Nie jest, dajmy na to, twórczością zapewnienie kupca, który w targu zaklina się na słowo honoru, że go ten lub inny towar „samego do handlu drożej kosztuje”,

natomiast najbardziej dostojnym czynem artystycznym bywa
często kłamstwo poetów,
powieściopisarzy, dramaturgów czy nowelistów, którzy fikcji
przez siebie
zmyślonej nadają kształty i barwy wydarzenia rzeczywistego.
Dla tego też ludzie
nie zawsze wierzą kupcom, zaklinającym się, bodaj na słowo
honoru, a w
najlepszej wierze, do łez rześzystych rozrzewniają się ubranem
w sukienki sztuki
kłamstwem poetów, powieściopisarzy i tam dalej.
Cechy zwykłego kłamstwa w utworach literackich podkreśla
jeszcze ta okoliczność,
że najczęściej na dnie poetycznie opowiedzianej historii leży
jakieś pospolite,
codzienne zdarzenie realne, jeno odpowiednio do wymagań
sztuki i temperamentu
autora przekolorowane, przefasonowane, przekomponowane,
czyli poprostu mówiąc,
zełgane.
Bo jakkolwiek metafizycy chcą ducha ludz-

kiego uważać za siłę bezwzględnie twórczą, względnie rzecz
biorąc, to jest ze
stanowiska naukowego, jest on tylko w najlepszym razie
wynałazcą, odkrywcą,
doszukującym się utajonych jeszcze sił przyrody lub
kompilatorem, układającym z
dostarczonych przez naturę barw i tonów swoje
własne, oryginalne mozaiki

kolorystyczne lub melodyjne symfonie. Nihil est in intellectu quod non erat in sensu, tylko że droga od zmysłów do intelektu, bywa niekiedy niesłychanie skomplikowana: Lolo materiał do swoich przesiąkniętych ostrym erotyzmem liryk, tudzież do pełnych wyrafinowej zmysłowości nowelek demoniackich czerpał z własnych doznań życiowych, przyczem wszakże łągał w sposób zaiste twórczy. Fantazja długą drogę od zmysłów do intelektu komplikowała mu do nieskończenia. Wiła się ta droga, niby starożytny Meander, w nieprawdopodobnych zawrotach przez wertepy cudów, aż stawała się sama czymś cudownem. Pod wpływem fantazji poetyckiej spotkana nad ranem w zaułku miejskim nędzna Wenus-żebraczka, zamieniała się w lirycznych jego wynurzeniach na Wenus-Anadyomene — jasną, powstającą z bieli pian morskich o blaskach różanej jutrzenki, boginię. Brzydka, zaszargana na błotnistym chodniku handlarka taniej miłości, która go prowadziła do brudnej nory w podejrzanym hoteliku, odżywała w fantazji jako przemożna księżna, prowadząca tajemniczo kochanka przez krużganki pałacu do bogatej, kąpiącej od

złota i drogich kamieni komnaty zalanej strumieniami
czarodziejskiego światła,
gdzie czekała go rozkosz niewysłowionych uniesień
miłosnych. Jeżeli zaś na
widok, spotkanego w ciemnej bramie hotelu, podejrzanego
osobnika uczuł dreszczyk
niepokoju o całość swoich żeber, dreszczyk ten w wyrazie
artystycznym urastał do
ogromu przerażeń i okropności, jakie straszliwa księżna,
kazała mu przeżywać,
ażeby zasłużył na łaskę jej demonicznego uścisku.
Takiemi to drogami wędruje fantazja poetycka. W taki to
sposób na wzniosłe
dzieła sztuki przekładał Lolo swoje dość zwyczajne przeżycia.
W rozmowach jednak
z towarzyszami w kawiarni na rogu był, jak się rzekło, szczery
najzupełniej.
Nazywał rzeczy po imieniu. Nie owijał nic w bawełnę, nie
ubarwiał, nie
upiększał, nie szczędził słuchaczom szczegółów najbardziej
drastycznych ze
swoich nocnych wycieczek... po nowy materiał twórczy;
owszem spowiadał się
najbezwstydniej z całej dekadencckiej niewybredności i iście
łapserdackich
narowów.
Jakież było zdziwienie wszystkich, kiedy nagle wczoraj
rozpoczął wynurzenia ze
zgoła innego tonu. Był rozmarzony, podniecony. Mówił
głosem bezgranicznego
zachwycenia, niby jakąś natchnioną improwizację.
— Ach, wołał, zmrużywszy nieco powieki, zda mi się
chwilami, że to sen tylko...

to znowu myślę, że jakaś dobra wieszczka urzeczywistniła
cza-

rodziesko jedną z najukochańszych moich wizji poetyckich...
moich rojeń,
tęsknot, pragnień... Ach, mam jeszcze oczy pełne tych
najcudniejszych kształtów,
uszy mam pełne oszołamiającego szeptu.
Nie, do kroćset — krzyknął głośniej — powiadam wam, że
kiedy w pewnej chwili
spadły z jej ramion fałdy wzorzystego, jedwabnego kimono,
byłem jakby olśniony,
jakby porażony. Nie, do kroćset—powtórzył — rzeczywistość
o wiele przewyższa
najśmielsze rojenia. Nie, ja nie mogłem w fantazji wyobrazić
sobie równie
doskonalej, równie harmonijnej piękności. Wszystkie moje
najpiękniejsze
dotychczasowe bohaterki, wszystkie najmiłośniej pieszczone
wizje księżniczek i
hrabianek, to, powiadam wam, poprostu parodje kobiecości w
porównaniu z tą żywą,
realną kobietą. Zdawało mi się, że zmysły moje nie zniosą
widoku niepojętych
skarbów powabu...
— Słuchaj no Lolek—przerwał jeden ze słuchaczy— jak
będziesz nas tak górnie
obełgiwał, cóż ci potem zostanie do noweli?
— Nie obełguję, zaperzył się Lolo Kaczeniec. Nie łżę nigdy i
teraz słowa jednego

nie zełgałem, a na dowód prawdy mogę wam powiedzieć, kto to taki.

I z ust Lolo padło nagle nazwisko jednej ze znanych, cenionych zwłaszcza za niezwykłą urodę, artystek operetkowych.

Wśród zebranych wywołało to sensację niema-

łą. Umilkli na moment, obserwując opowiadającego wśród zmiennych i zmieniających się uczuć — zazdrości, podziwu, niedowierzania. Tylko na starannie wygolonej twarzy pana Jana odmalował się zupełnie zdecydowany grymas niesmaku.

— Fi donc — zaczął — prawda, między wami wyrastam i ja potrochu ze starych przesądów-rycerskich, myślę jednak, że nawet przy najdalej posuniętej tolerancji... obnoszenie po knajpach... Hm, jakby to powiedzieć...

— Wiem — przerwał Lolo — chce mi pan dać do zrozumienia, że powinienem był zachować dyskrecję.

— Tak mniemam. Jeżeli kobieta piękna, no, i bądź co bądź, do pewnego stopnia towarzysko udostojniona obdarza nas zaufaniem...

— Sapristi! — zaklął Lolo. — Otóż w tem sęk, że nie ja byłem obdarzony zaufaniem i tem samym nie poczuwam się do obowiązku zachowywania dyskrecji.

— Jakto?

Zachichotał we właściwy sobie sposób.

— Ba, muszę wam opowiedzieć wszystko od początku.
Historja jest dość osobliwa.
Zapalił papierosa i mówił, wybuchając od czasu do czasu tym
nieprzyjemnym,
histerycznym chichotem, co czynił zazwyczaj, kiedy miał
siebie przedstawić ze
strony nienazbyt dodatniej.
— Hi, hi! — zaczął — dostałem wczoraj od re-

portera z Perpetuum mobile „passepartout” do teatru,
przyczem pożyczyłem też
sobie od niego garnitur smokingowego, ile że, jak sam on
stwierdził, w mojej
dość sfatygowanej wielbłądziej kurteczce do pierwszych
rzędów krzeseł wchodzić
nie wypada. Półkoszulek, krawat i co za tem idzie, nabyłem
już z własnych
funduszków, za pieniądze otrzymane wczoraj właśnie z
Perpetuum. Drukowano mi tam
jakiś głupi wierszyk.
A no wyglądałem doprawdy co najmniej na lorda. Anim
przypuszczał, że mam w sobie
tyle szyku i dystynkcji. W teatrze rzeczywiście dano mi
miejsce bardzo bliskie.
W tym samym rzędzie obok siedziała ona. Pożerałem ją
oczyma.
Hi, hi! — śmiał się — myślałem że mnie zna bodaj z
widzenia. Tyle lat człowiek
drukuje wierszydła po pismach, no i od tylu lat siedzi się
całymi dniami w

kawiarni artystycznej. Zrobiłem oko. Zareagowała dość przychylnie. Po chwili upuszcza afisz. Podaję go jej z kurtuazją. Niebawem znowu, bęc — upada lornetka.

Podaję lornetkę.

— Dziękuję — rzecze z najmiłym w świecie uśmiechem. To mnie ostatecznie ośmieliło. W antrakcie zaczynam rozmowę o sztuce. Rozmowa toczy się jak po maśle. Staram się być dowcipny, zajmujący... ale doprawdy nie przypuszczałem, żeby to mogło mieć jakieś poważniejsze następstwa. Po przedstawieniu jednak nie opuszczam zdobytej placówki.

Owszem wybiegam za nią do szatni i pomagam włożyć ten jej przebogaty płaszcz szafirowy.

— Czy pozwoli pani, że ją odprowadzę do domu?

— Oh, skoro pan taki uprzejmy.

Zdało mi się, że piorun we mnie trzasnął. Do licha, zrobiłem nareszcie konkietę.

Nie miałem wątpliwości. Zbyt wyraźnie okazywała to, że jest z towarzystwa mego zadowolona. Szalałem z radości. Na placu wielkim głosem i z gęstą miną zawołem

dorożkę — miałem jeszcze całe dwa złote w kieszeni.

Jak na złość przywaliła kanalja na gumach. Nie podobna się było cofnąć. Coprawda

przez całą drogę trapiłem się myślą, czy mi łajdak dryndziarz z właściwą tym

zapowietrzonym gumiarzom arogancją nie nawymyśla za tak skromną zapłatę.

Szcześnie jednak przyjął pocziwiec dwa złote bez szemrania. Wszystko się tak

jakoś szcześnie udawało dnia tego...

Hi, hi! przed bramą — ciągnął dalej Lolo — chciałem już piękną pożegnać, ale ona

zatrzymała moją rękę w swojej rączce maluchnej.

— Nie wstąpi pan do mnie na skromną herbatkę?

— Kolana się podemną ugięły. To już przechodziło najsmielsze plany... na

razie. Nie przypuszczałem, ażeby miłość nasza tak szybko mogła dojrzeć. Po

schodach szedłem pełen drżenia. Onie-

śmielił mnie jesze bardziej widok mieszkania umeblowanego z przepychem i

kokieterją. Przeważała tam jakaś, dość banalna secesja wiedeńska, ale wszystko

było nowe, świecące, wypolerowane. Stół zastawiony zimnem mięsiwem i jakiemiś

marynatkami, migotał w blasku lamp elektrycznych świetnością sreber, kryształów

i porcelany. Fertyczna kamerysa w białym fartuszkku kładła drugie nakrycie —

nakrycie dla mnie!

Hi, hi, hi! chłopcy kochane, kiedyindziej, wierzcie mi, ta fertyczna kamerysa, ta

skromna pokojóweczka starczyłaby mi za źródło natchnień niewyczerpanych, a

obecnie miałem przed sobą panią jej, słynną piękność...
istotnie najpiękniejszą
kobietę w mieście. Właśnie po chwilowej nieobecności
zjawiała się znowu w
jadalni, przebrana w ten śliczny szlafroczek kimonowy, w
którym wyglądała
jeszcze powabniej, jeszcze bardziej kusząco niż przedtem w
sukni wieczorowej.
Zdażyłem już jednak podczas jej nieobecności, kropnąć dwa
koniaki, co jakoś
skrzepiło we mnie pewność siebie.
Przy kolacji, węzeł sympatji zacieśniał się mocniej.
Przechodziliśmy potrochu na
stopę coraz bardziej poufałą. Że było gorąco, zrzuciłem
smoking. Ona nagle
wybuchnęła spazmatycznym śmiechem.
— Co to nosisz półkoszulek na niebieskiej koszuli?
— A noszę, odparłem rezolutnie.

— Jakto, to przy twoich środkach nie stać cię na całą,
porządną koszulę z
gorsesem?

— Moja droga, jest to kwestja przyzwyczajenia nie środków.

— Ha, prawda — odparła — ludziom takim, jak wy, wszystko
wolno i... wszystko
wypada.

Wziąłem to za wyraz hołdu dla mego poetyckiego powołania,
podziękowałem więc jej
za uznanie.

— No przyznaj mój drogi, że przecież... że jestem piękna?

— Masz ciało, o miła, bielsze niż śnieg na wirchach górskich,
niż biel atłasowa
puchów łabędzich, a jesteś bardziej luba i rozkoszna niż
jakakolwiek inna
kobieta na świecie.

— Więc przyznajesz — zawołała radośnie — że jestem
wogóle piękniejsza niż ta
twoja Mary?

— Jaka Mary, duszo anielska?

— No twoja najukochańsza, Mary Guzikowska.

— Nie mam przyjemności znać, serce moje, panny czy pani
Mary Guzikowskiej.

— Jako nie znasz?

— Daję ci na to najświętsze słowo honoru.

— Tak? Więc ty, chyba nie jesteś ordynat Niemichrowski?

— Nie, aniele, ani trochę.

— Naprawdę?

— Niestety, losy zrzędziły inaczej.

— Nie jesteś? A to ślicznie! Czemuś mi pan tego odrazu nie
powiedział?

— Ach, skarbie najdroższy, mogłabyś z równą słusnością
mieć do mnie pretensję,

żem ci także nie powiedział, iż nie jestem Napoleonem

Bonaparte, księciem Albą,

Maurycem Saskim, Alfonsem, królem hiszpańskim, kacykiem
z Honolulu, prezydentem

rzeczypospolitej peruwiańskiej i bo ja wiem kim tam jeszcze.

— Aleś pan też, jak Boga kocham, podobny do ordynata, jak
dwie krople wody!...

— Nie wiedziałem, że mam ten zaszczyt.

— Hm, a tom się złapała! Kimże pan jesteś do licha, na moje utrapienie?

— Jestem sobie poetą lirycznym z kawiarni artystycznej.

— I niczem więcej ?

— Owszem, będę twoim bardem, twoim minstrelem, o boska istoto, staniesz mi się

Egerją, natchnieniem mych natchnień, moim genjuszem.

Wtedy, zobaczysz, imię Lola

Kaczeńca, to jest moje, zaświeci blaskami sławy niepojętej na firmamencie poezji

wszechświatowej, a wydawcy, kanalje, przyjdą, o słodka, zsypywać wory złota u

stóp twoich. Poczekaj tylko najdroższa, aż...

— Dziękuję uprzejmie — przerwała niecierpliwie — nie mam zdrowia na czekanie.

Nie mam też powołania do roli Egerji. O nie, panie kochany, wytłumacz sobie — to wyłączone stanowczo.

Ach, ach — lamentowała. — Chciałam odebrać tej suchej wierzbie, Mańce,

ordynata... I tak się złapać!... No, ale zobaczycie, nie dziś to jutro! Ordynat

Niemichrowski będzie mój!

— Życzę ci powodzenia, duszo seraficka, ale tymczasem pozwól mi zostać u ciebie

do rana, ile że deszcz chlapie wcale brzydki, a dalibóg, nie zapewniłem sobie

innego schroniska na noc dzisiejszą.

— A co mnie to obchodzi, także... widzicie go!

— Przytem wydałem ostatnie dwa złote na dryndę i nie mam
dychy na stróża... na

twojego stróża, serce!...

Rzuciła mi dziesiątkę...

Ten moment opowiadania, wśród zebranych wywołał ogólne
poruszenie...

— Nieee?!

— Ha, cóż chcecie — kończył — musiała. Nie mogła się
przecież kompromitować
przed własnym stróżem. Teraz zrozumiecie, jak mniemam, że
żadne wzglądy

rycerskości wobec damy, która zaufane swoje powierzyła nie
mnie, lecz jakiemuś

ordynatowi, mnie obowiązywać nie mogą.

Niech sobie ordynat będzie dyskretny.

DOBRY ZNAK.

Znałem Małgorzatą z tej strony... Skromna jest, poważna,
surowa...

Oh, surowa, może aż do przesady. Tak bezwzględnie unika
wszelkich

najniewinniejszych nawet form flirtu salonowego, że często
sprawia to wrażenie

jakiegoś ciasnego kwakierstwa. Pamiętam ilekroć rozmowy,
jak to zwłaszcza wobec

młodych i pięknych kobiet bywa, schodziły na swobodniejsze tory drażniących słów, dwuznacznych określeń i niedwuznacznych uśmiechów, Małgorzata wstawiała zażenowana i pod pierwszym lepszym pretekstem opuszczała towarzystwo.

Pamiętam, z jak szczerem, niepodrobionem oburzeniem odpychała natrętne spojrzenia mężczyzn, kiedy pełzały łakomie po jej bogatych, przecudnie rozwiniętych kształtach, kiedy chciwe spoczęły na jej pełnych ustach, co, niby żywe uzmysłowienie rozkoszy, krasiały się barwą soczystych wisien.

Rumieniec wstydu zalewał jej twarz uroczą, to znowu pokrywała ją bladość gniewu, jakgdyby w spojrzeniach tych odczuwała ciężką zniewagę

osobistą. Karciała też smiałków groźnem ściągnięciem brwi i dumną, pełną godności postawą, przywoływała ich do porządku. Takie to u niej było niekłamane, naturalne, konieczne... Rozumiałem, że jeżeli teraz kobieta ta zarzuciła mi ramiona na szyję bezpamiętnie, powiem — bezwstydnie — to już na śmierć... Istotnie, wszędzie dokoła kręcili się ludzie. Park spacerowy, pomimo spóźnionej pory, niezwykle był jakoś ożywiony. Starzy, młodzi, dzieci różnego wieku sunęli nieprzerwanym korowodem w tę i tamtą stronę po wygracowanych uliczkach. Nie

wiem, czy nas rzeczywiście nie widzieli, czy dyskretnie udawali, że nie widzą.
Ciągnęli gwarnie, hucznie, nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. A byliśmy zlekka zaledwie zasłonięci przez wątlą grupkę młodych brzózek, którym jesień dobrze już czupryn nadwyreżyła. Chwiały się melancholijnie na wietrze biedne nagie różgi, siejąc ostatkiem delikatnych płatków złota. Staliśmy, przytuleni do siebie miłośnie. Ona wpiła się namiętnie ustami w moje usta.

— Kocham.

Wiatr zgarnął z trawnika garść zeschniętych liści, zakręcił niemi figlarnie młynka w powietrzu i rzucił nam je w rozplamienione twarze.

Zadrzała.

— Zimno. Chodź stąd.

Wzięła mię za rękę i prowadziła przez gęste krzaki ku wyjściu z ogrodu.

— Dokąd mnie wiedziesz?

— Do siebie.

— A on?

— Niema go.

— Wyjechał?

Stanąła i patrzyła mi w oczy przenikliwie.

— Czy sądzisz, zaczęła z mocą, że byłabym zdolna do zdrady, do udawania... do

upokarzającego ukrywania się z uczuciem, które we mnie wległo, jak fatalność,

które całe moje jestestwo ogarnęło niepodzielnie? Czy
sądzisz, — ciągnęła dalej,
głos podnosząc, — że byłabym zdolna oszukiwać człowieka,
choćby on był o setki
mil odemnie oddalony, choćby był na drugim końcu świata?...
Jego na świecie niema...

— Umarł?

— Zabiłam go.

Pamiętam, że wyznanie nie przeraziło mnie nadmiernie.

Uważałam to za rzecz

prawie normalną, prawie konieczną w obecnej sytuacji.

Zresztą, przyjmowałam

potem bez zastrzeżeń i bez protestu wszystkie racje, jakie mi
w tej materji

swoim spokojnym, pełnym przekonania głosem podała.

— Dosyć — mówiła z mocą — tego życia mięczaków w
skorupie twardych norm nakazu

stadowego. Wyzwoliłam osobowość swoją do czynu wol-

nego i pięknego, więc przyszedłam do ciebie, jako do artysty.

Musimy stworzyć

razem świat nowych form i nowej treści. Musimy zaludnić go
istotami o

przepotężnych namiętnościach gigantów — istotami, których
cierpienia byłyby

straszniejsze od wszystkich dotychczasowych cierpień
ludzkości a radości

potężniejsze, niż najwyższe ekstazy miłosne, Trzeba nam
wielkich cnót, ale też i

grzechów potwornych. Trzeba nam okrutnych a wspaniałych
zbrodni, są one bowiem,

jak olbrzymie koło rozpedowe, poruszające tę całą maszynę,
która ciągnie

ludzkość do wyżyn duchowego wyzwolenia. Potrzeba nam
wskrzесиć rasę straszliwych

Atrydów, ażeby życie nasze dzisiejsze nabrało barwy i
interesu. Musimy je

skomponować, jak artysta komponuje sztuki swoje, jak
Ejschylos komponował swoje

nieśmiertelne tragedje. Wtedy dopiero odnajdziemy w niem
istotne, trwałe

wartości estetyczne.

— Tak — kończyła — uczyniłam, co uczynić byłam powinna,
i jestem w sumieniu

swojem spokojna.

Byłem i ja w sumieniu swoim spokojny, choć czułem, że
przyjmuję na siebie

współwinę w zbrodni okropnej. Czułem nadto, że przez to jej
wyznanie wiążemy się

ze sobą straszliwym, krwawym ślubem, którego nie rozerwą
moce piekielne.

— Kochanko moja, — rzekłem, — przelana krew tamtego
człowieka przykuwa mnie do

ciebie na wieczność.

— Na wieczność — odparła z powagą.

Szedłem za nią bezwolnie, niby zahypnotyzowany, czując
ciągle na ręku dotknięcie

jej gorącej dłoni. Wiodła mię przez ulice szerokie, wysadzone
gęsto olbrzymiami

drzewami. Pod nogami szeleściły nam uschłe liście, których
rdzawe barwy

przypominały krew zapiekłą.
Mroki powoli czyniły się coraz głębsze i wdali od miasta
zaczęły już rozbłyskać
ogniste kule światła elektrycznych. Kiedy wreszcie stanęliśmy
przed żelazniami
sztachetami jej ogrodu, noc już stała ponura i czarna, jak całun
śmiertelny.
Pchnęła drzwi. Rozwarły się z dziwnie przejmującym
skowytym zawiasów.
Znaleźliśmy się wśród drzew jesiennych. Nagie ich konary,
przykryte jeno
gdzieniegdzie, niby postrzepionymi gałganami, resztką
zwiędłego listowia,
rysowały fantastyczne sylwety na tle granatowego nieba.
W głębi ogrodu stał dom duży, choć niezbyt wysoki. Nie, był
to raczej piękny
pałac renesansowy z kolumnowym frontonem i attyką. Kilka
szerokich stopni
prowadziło na obszerny peron kamienny.
Małgorzata wstępowała po wschodach krokiem pewnym. Ja
zawahałem się chwilę. Dom
ten, pogrążony w mrokach i w tem jakimś dziwnem
niewysłowienie absolutnem
milczeniu, przyznaje, przejął mię niepokojem.
Odwóciła się.

— Boisz się? — rzuciła tonem szorstkim.
Bez słowa odpowiedzi pośpieszyłem za nią na peron.
Stanęliśmy pod portykiem u
wielkich drzwi dębowych. Otworzyła je z nadzwyczajną
ostrożnością kluczem,

wydobytym z ręcznego woreczka damskiego. Po chwili w blaskach światła elektrycznego zajaśniał przed nami obszerny westibul o sześciu białych kolumnach z marmuru i lśniących ścianach stiukowych. Wzięła mnie znowu za rękę i prowadziła przez długi szereg komnat, wysłanych dywanem tak miękkim i puszystym, że stąpaliśmy po nim bez szelestu, niby zjawy bezcielesne. W miarę, jak przechodziliśmy z komnaty do komnaty, zapalały się przed nami setki różnego kształtu lamp elektrycznych, zalewając nas oślepiającą jasnością. Od nadmiaru światła, które poprostu boleśnie kłuło w oczy, nie mogłem dokładnie widzieć urządzenia salonów. Zatrzymaliśmy się wreszcie w jednym z pokojów. Skoro przekreśliła na ścianie guzik od przewodnika elektrycznego i zapłonął rzęsiście świetny, zawieszony u stropu, bukiet tulipanów, ujrzałem rzecz okropną. Na wielkim łożu, wśród straszliwie zmiętych, skrzywionych poduszek, kołder, prześcieradeł widniało martwe ciało mężczyzny. Z pozycji trupa, jak również z całego nieładu, jaki tu dokoła panował, wnosić można było, że się przed śmiercią bronił

gwałtownie, że z mordercą stoczył straszliwą, rozpaczłą walke.

Nie mogłem dojrzeć jego twarzy, gdyż głowa cała, odrzucona na krawędź łózka,

owinięta była w okrwawione szmaty.

Spojrzałem na Małgorzatę, pełen zgrozy i przerażenia.

Wzruszyła ramionami.

— Co znaczy życie? Przypomnę ci słowa Remy de

Gourmont'a: La vie n'est rien pour

les hommes, puisqu'elle a une fin, et rien pour les dieux,

puisque'elle n'en a

pas. Tout est égal dans l'absurde.

Tak. Zawieszeni w absolicie, możemy jedynie chwile przeżyć naszych uczynić mniej

lub bardziej zajmującą. To tylko ma jakie takie znaczenie.

Chodzi o zdobycie

pełnych w różnaitości i mocnych w nateżeniu doznań.

Jutro, skoro usuną trupa, tu urządzimy sobie sypialnię.

A teraz dobranoc, kochanku mój!

Złożyła mi pocałunek na czole i znikła, zgasiwszy przedtem światła.

Pozostałem sam w ciemności.

Zjeżyły mi się włosy na głowie. Rzuciłem się do drzwi. Były na klucz zamknięte.

Szarpnąłem je z całej mocy, ale nawet nie drgnęły. Zacząłem poomacku szukać na

ścianie guzika od przewodników elektrycznych. Daremnie. W szalonym zener-

wowaniu potraçałem jakieś przedmioty, które padały na miękki dywan prawie bez

odgłosu. Posuwałem się tak wzdłuż ściany, aż do rogu pokoju. Potem dalej do ściany trzeciej. Nagle przypomniałem sobie, że gdybym łak dążył w dalszym ciągu, musiałbym się wreszcie natknąć na łóżko, na którym leżał on...

Istotnie, wchodząc, zauważyłem, że stało ono na środku pokoju, przyparte głowami do ściany, którąśmy mieli wprost siebie. Myśl, że mógłbym teraz w ciemności dotknąć się do jego zimnego, trupiego ciała, napełniała mnie przerażeniem nie do wypowiedzenia. Zacząłem spieszenie wracać tą samą stroną, ku drzwiom wchodowym.

Ale snadź w nadmiernym podnieceniu, utraciwszy całkowicie panowanie nad władzami poznawczymi, nie domacałem się drzwi wśród miękkich draperji. Najwidoczniej minąłem ten mój jedyny punkt orientacyjny, bo oto znowu znalazłem się w innym rogu pokoju.

Przewodnika elektrycznego nigdzie nie było. Nie miałem przy sobie zapalek.

Ogarnęła mnie tępa, bezsilna rozpacz. Już nie wiedziałem, w którą stronę mam ruszyć. Bałem się, czy jeden krok naprzód nie zaprowadzi mnie... do niego.

Starąłem się opanować. Stańłem spokojnie, sądząc, że może wzrok, oswoiwszy się z ciemnością, pozwoli na odnalezienie się w sytuacji. Niestety. W pokoju panowała ciemność absolutna. Widocznie okna zasłonięte były takimi samymi

ciężkimi aksamitnymi firankami, jak te, które wisiały nad
drzwiami wchodowymi i
w innych miejscach komnaty. Błądząc rękami po ścianach,
ustawicznie wlegałem
palcami w jakieś obfite, puszyste fałdy aksamitu.
Znowu owa bezsilna, beznadziejna, okrutna rozpacz zatargała
całą moją istotą. W
paroksyzmie już prawie szaleństwa rzuciłem się przed siebie.
Potknąłem się o coś
miękkiego i upadłem.
Zmacałem rękami. Leżałem na jakiejś kanapie, wysłanej
miękkim pluszem jedwabnym.
Przywarłem mocno do tej kanapy, wtuliłem się w kącik i tak
trwałem chwilę długą.
Potrochu przychodziło jakby uczucie względnego
bezpieczeństwa. Poskromiłem nieco
rozkołysane przeżytemi wrażeniami zmysły, zacząłem
zastanawiać się nad swoją
sytuacją.
Pojąłem wszystko. Pojąłem, dlaczego Małgorzata zarzuciła mi
ramiona na szyję...
Ona, ta czysta, ta purytanka... ta surowa... ha, ha, ha!
Cóż za szatański plan!
Straszliwym zaklęciem pocałunku przywiodła mnie tu,
ażebym wziął na siebie
brzemień jej zbrodni.
Odwieczna historia.
Nieprzeparta jest moc pocałunku czerwonych ust;
nieskruszone pęta opłotu białych
ramion niewieścich.

Z jakimże boskim czy demonicznym spokojem wiodła mię
tu... do trupa.

Stało się. Czuję, że nieodmiennie spełnić się musi wszystko,
aż do końca.

Czekałem.

W ciemnościach słuch mój zaostrza się w sposób
niewysłowiony. Odróżniam
najdokładniejsze szmery. Słyszę najdokładniej cykanie jego
zegarka

kieszonkowego, leżącego na nocnym stoliku przy łóżku.

Słyszę także za ścianą

bicie wielkiego zegara ściennego o dźwięku jasnym i
donośnym, niby uderzenia

gongu chińskiego.

Wybiła dwunasta...

Słyszałbym go niewątpliwie, myślę, gdyby się poruszył na
swej śmiertelnej

pościeli... i wtedy oszalałbym z pewnością. Ale on się nie
poruszy — nie żyje. I

dlatego czekać muszę na rzecz inną... Staje się to dla mnie
teraz pewnością. Już

poprostu niecierpliwi mię to, że chwila stanowcza odwlekła
się tak okropnie.

Oczekiwanie w tem towarzystwie jest nie do zniesienia... A
jednak, kiedy

wysubtelnione ucho moje uловиło wreszcie z oddali ów znany
skowyt zawiasów u

furty ogrodowej, oblał mnie zimny pot i drzeć zacząłem na
całym ciele.

Idą. Słyszę najdokładniej kroki wielu osób na zasutej
zeschłymi liśćmi ścieżce
ogrodowej.
To już nieodwołalnie... więzienie, kajdany... katorga... hańba...
Ach, zapaść
się pod ziemię.
Przywarłem tylko silniej do kanapy. Objąłem ją rękami
gwałtownie, kurczowo.

Na stopniach peronu szurają grube buty.. Stanęli przed
drzwiami.
Zaparłem oddech w piersiach, serce mi bić przestało...
Dzwonek.
Ocknąłem się. Otworzyłem oczy.
Leżałem u siebie w pokoju na łóżku. Prześcieradło było
skręcone, ściągnięte,
poduszka zmięta wysunęła mi się z pod głowy.
Uprzytomniłem sobie: Małgorzata, to moja własna żona...
Zatem ja jestem
zamordowany...
Uświadomiwszy to sobie, przymknąłem oczy z pewną ulgą i
starąłem się ukoić w
sobie nieznośne drżenie.
Drugi dzwonek, gwałtowniejszy.
W przedpokoju zadudniły bosc nogi służącej. Zgrzynał klucz
w zamku, szcęknał
rygiel zatrasku.
Słyszę okrzyk: „Pani nasza wróciła”!
Małgorzata, żona moja, wróciła z Wenecji.
Dygotałem jeszcze na całym ciele i patrzyłem
nieprzytomnemi, przerażonemi

oczyma, kiedy weszła mię powitać.

— Przeraziło cię moje dzwonięcie?

— Nie... to jest, tak... Miałem sen męczący, przykry...

niewypowiedzianie

przykry... Zamordowaliśmy kogoś.

Klasnęła w ręce.

— Zamordowanie? Zamordowanie? Czekaj — to, zdaje się, dobry znak.

Wyjęła z torebki podróżnej książkę, od częstego użycia

postrzępioną na rogach

niemiłosiernie. Poznałem. Był to „Sennik egipski”, który, żona

moja za stałego

zawsze miała towarzysza. Otworzywszy na właściwym

miejscu i czytała:

„Morderstwo popełnić: długie życie przy dobrem zdrowiu i

zaszczytach

znamionuje”.

W CUKIERNI NA ROGU.

Pan Piotr huknął pięścią w stół i, jak zwykle, zakończył radykalnie:

— Wszystko nabić w armatę i wystrzelić; wszystko wywrócić do góry nogami, z ziemią zrównać; niechby z dawnej budowy kamień na kamieniu pozostał.

Obecni, jak na komendę, buchnęli śmiechem.

— Ha, ha, ha, ależ konserwatywny radykalista, daj go katu!

— Dlaczego konserwatywny? — spytał z naiwnym zdziwieniem.

— No, bo rozbijasz pan ten sam stół i powtarzasz literalnie to samo już od

lat... od lat... czekaj pan...

— Od lat dwudziestu jeden — zdecydował mecenas Horodło.

— No, nie! No nie! Chyba nie tyle! — protestowano.

— Ależ tak, moi panowie. Niestety, tak. Nie można się okłamywać. Mam na to w domu argu-

menty... tańczące i śpiewające. Było to w drugim roku mego małżeństwa, kiedym w czasie pobytu żony na letnim mieszkaniu grywał tu w szachy z kolegą

Szczepańskim. Wtedy właśnie urodziła się Hanka. W tym samym roku, jakoś na

jesieni wrócił z emigracji stary Ostroga, a jednocześnie pan, panie Piotrze,

powróciłeś z wygnania... No i zaczęły się tu przy tym stoliku owe nieustające

spory o światopogląd. Pan młody, chciałeś wszystko wywracać do góry nogami, on,

stary niejedno wywrócone rad był na dawnym miejscu ustawić. I choć starego już

niema...

— Czyżby to jednak już lat dwadzieścia upłynęło? —
przerwał Piotr.

— Dwadzieścia jeden — poprawił mecenas. Zamilkli. Na
wszystkich padło jakby
nagle

przygnębienie. Pochylili łysiejące głowy na piersi i trwali czas
jakiś w

zadumie. Najsilniej jednak nastrój chwili odbił się na panu
Piotrze. Twarz mu

się smętnie wydłużyła, oczy zapatrzyły melancholijnie w
przestrzeń... czy w

przeszłość, tak bardzo już odległą. Zrobił w myśli krótki
rachunek: czterdzieści

pięć.

Nie można się okłamywać!

Do licha! Nie ukrywał przed ludźmi, a tem bardziej przed sobą
tej prawdy

arytmetycznej, wszakże wydało mu się, że świadomość wieku
swego zdobył dopiero w

tej chwili. Ogarnęła go bezsilna rozpacz, że nie może koła
życia chwycić potężną

dłonią za szprychy i cofnąć wstecz na drodze, tak przerażająco
szybko

przebieżanej. Poprostu nie zdążył zorientować się, połapać w
sytuacji.

Mecenas Horodło, zagłębiany we wspomnieniach, przytacza
mnóstwo szczegółów na

potwierdzenie scisłości swego obliczenia.

— Kiedyśmy się tu zaczęli spotykać — mówi — cukiernia należała jeszcze do nieboszczyka Dziupli, potem interes prowadzili czas jakiś spadkobiercy, aż nabył to Sztencel. Po Sztencle siedział tu szwajcar... nie pamiętam nazwiska, bo zresztą krótko to trwało, po nim Ciumiński, a dopiero od Ciumińskiego kupił cukiernię obecny jej właściciel, nasz pan Kaszka. Było to już po r. -ym, w każdym zaś razie po śmierci poczciwego Ostrogi, a jakoś niedługo przed ożenieniem się Szczepańskiego, który od tego czasu oczywiście nie dotrzymuje nam towarzystwa. Bądź co bądź, my we czterech, czy pięciu, cośmy dotychczas na stanowisku wytrwali, możemy powinszować sobie dobrego zdrowia i zachowawczości nielada. Wiele się zmieniło na świecie. Zmieniali się właściciele lokalu, w lokalu zmieniono tapety, pokrycia na meblach, wreszcie same meble, wstawiając nam oto tę nową, a prawdę rzekłszy, djabło niewygodną secesję, my zaś wciąż po staremu zasiadamy w tym samym kącie i po staremu barłóżymy o niczem. Zaśmiał się szeroko.
— Ha, ha — kończył, zwracając się bezpośre-

dnio do Piotra — daruje pan kochany, ale to doprawdy — szczyt konserwatyzmu,

mimo najbardziej zaawansowanych światopoglądów. W gruncie rzeczy nie mamy sobie nic do wyrzucenia. Nie wyobrażał sobie zacny mecenas, jak Piotra uraził boleśnie. Dotknął niebacznie otwartej w sercu rany. Piotr czynił z sobą poczet surowy i z konduity swojej życiowej niekontent był na wielu bardzo punktach. Zaiste wiele miał sobie do zarzucenia dawny radykał, który teraz pytlował na młynku codzienności swoje wielkie ongi ideały. Wciągnęło go życie w ciasny krąg miążkich zabiegów, pograżyło w bagienku nawyków, nałogów, które utrwał coraz bardziej wzrastający z wiekiem egoizm. Dokąd zaszedł? Zestarzał się, nie zdając sobie z tego sprawy i tem samym nie zauważył, że z pewnemi pozami może mu być nie do twarzy. Po co właśnie udaje jakąś anarchistyczną abnegację zatracenia, skoro w rzeczywistości lubi już spokój, porządek, systematyczność i teraz, kiedy zdobył nareszcie wygodną, niezależną sytuację, może sobie w całej pełni na te upodobania pozwolić. Ba, i pozwala też sobie na nie w całej pełni. Po cóż kabotyńska poza, z którą jest tylko śmieszny i basta. Wydał na siebie wyrok surowy, ale nie umiał go przyjąć z rezygnacją. Owszem poddał się cał-

kowicie ponurej rozpaczy. Siedział zasepiony i nie słyszał, jak
pocziwi
staruszkowie szybko ochłonęli z chwilowej opresji i bawią się
już wesoło,
opowiadając sobie pieprzne dykteryjki.
— Panie Piotrze — zwrócił się nagle do niego mecenas.
Porwał się, jak ze snu zbudzony.
— Słucham.
— Panie Piotrze — zaczął tamten — żona i córka siedzą dziś
na kiermaszu... no,
wie pan... teraz... Chodź pan tam ze mną... Jako młody i
kawaler będziesz pan
bawił damy...
— Młody!
Słowo to podnieciło go nadzwyczajnie. Zapewne wszystko
jest względne... Ha, ha,
wszystko jest względne!
Uczuł potrzebę otrząśnięcia się z przykrych myśli.
— Chodźmy — zdecydował. — Doskonale, będę bawił
damy...
— No, więc w drogę!
— Dobrze... tylko...
— Tylko co? Zaczerwienił się jak żak.
— Tylko...
— No, wykrztuś pan.
— Tylko przedtem muszę do kogoś zatelefonować.

Pan Piotr miał tajemnicę. Tajemnicą mianowicie dla
wszystkich było to, że od lat
co najmniej dziesięciu ma on wierną, oddaną sobie
przyjaciółkę, której równą

odwdzięcza się wiernością.

Spotkał niegdyś w tych najpospolitszych dla tego rodzaju spotkań okolicznościach

jedno z owych biednych dzieci ulicy, rzuconych bezradnie na pastwę życia.

Dziewczyna była dzika, niesforna i mimo nader wczesnego wieku dość zepsuta,

Piotr jednak na dnie tej duszy, już nieco zbłoconej, odczuł pierwiastki

szlachetniejsze i postanowił je w niej ocalić za wszelką cenę.

Zajął się nader

gorliwie wychowaniem dziewczęcia, nie szczędząc kosztów i trudu. Jakoż owe

pierwiastki szlachetniejsze nie tylko nie zniknęły, lecz

kultywowane troskliwą

dłonią wychowawcy zaczęły najpiękniej, niby dobre w

urodzajnym gruncie ziarno,

pienić się i cudnie rozkwitać.

Kierunek jej mocno zaniedbanego wykształcenia ogólnego

ujął sam we własne ręce,

a prowadził je, dzięki doświadczeniu wieloletniego guwernera

i korepetytora, z

doskonałym powodzeniem. Lekcje odbywały się z wzorową systematycznością. Stale

wieczorem o tej samej godzinie zjawiał się w mieszkaniu

dziewczyny i odrazu

rozkładano na stole książki i kajety. Co prawda, niekiedy

płochy amor

przychodził płatać figle. Uczennica pod wpływem psotnego

bożka podszeptów

stawała się roztargniona, nieuważna i, jak dawniej, niesforna.

Śmiała się, dokazywała. W oczach zapalały się jej jakieś
djabelskie ogniki, a
policzki płonęły rumieńcami. Targała wtedy mistrza za
rzedniejącą czuprynę zgoła
bez wszelkiego szacunku, to znowu obrzucała przezwiskami,
które również
absolutnie nie licowały z powagą jego jako nauczyciela. Aż
wreszcie swywołnym,
łobuzerskim ruchem ręki zmiatała ze stołu książki i kajety,
deptała je nóżkami
na ziemi, a sama całą swoją osobą rzucała się Piotrowi na
kolana, wpijając się
pocałunkami w jego usta.
Tak to surowa bogini Rozumu, choć w kasku i karacenie a z
dzidą w dłoni chadzać
zwykła, ustępowała nieraz sromotnie pokonana, przed
bezbroną, naga, z piany
morskiej zrodzoną, Afrodytą...
Ale Lola była zdolna, pojętna i rzeczywiście szczerze wiedzy
chciwa. Uczyła się
więc chętnie czyniąc zdumiewające postępy, zwłaszcza, że
Piotr, zaopiekowawszy
się dziewczyną, wytworzył jej narazie egzystencję, w której
mogła swobodnie, nie
odrywając się do jakichś zajęć zarobkowych, poświęcić się
całkowicie nauce.
O, nie trzeba sobie źle tłumaczyć tego ich wzajemnego do
siebie stosunku.
Wszakże nawet razem nie mieszkali. Piotr urządził jej
wprawdzie z własnych
zasobów skromne mieszkanie, był to jednak środek
tymczasowy, dający tylko Loli

możność zdobycia i nabycia przyzwoitszego wykształ-

cenia, ażeby z czasem stanęła o własnych siłach lepiej do walki o byt uzbrojona.

Mijały lata. Lekcje z Lolą stały się dla Piotra poprostu nałogiem. Co prawda, nadzwyczajne postępy uczennicy podniecały ambicje pedagogiczne dawnego guwernera, a doprawdy fenomenalne jej zdolności wręcz domagały się podniesienia pierwotnie zakreślonego planu edukacji. Rozszerzano też z roku na rok program nauk i choć Lola dawno już doskonale była przygotowana do tego, ażeby zająć niezależne stanowisko w jakimś biurze lub kantorze, Piotr ciągle odnajdywał nowe dziedziny wiedzy, w które wtajemniczyć pupilkę uważał za konieczne.

Do wykładów przygotowywał się teraz z całą powagą, a często z dużym nawet nakładem pracy, boć to niejedno zdążył już zapomnieć, a przytem nauka tak szybkie czyni dziś postępy. Zajęcia biurowe, odkąd zwłaszcza został szefem wydziału, nie przeszkadzały mu w tem bardzo. Miał czasu dosyć. Miał także w gabinecie swoim telefon, zaabonował więc telefon i dla Loli, co mu dawało możliwość utrzymania z uczennicą kontaktu w ciągu dnia całego.

Porwany teraz tak nagle przez mecenasa na ów kiermasz,
skorzystał z telefonu
Loli, ażeby ją zawiadomić, że na lekcje wieczorem nie
przyjdzie.
Atmosfera kiermaszu odurzyła go. Nigdzie przecież nie
bywał, nikogo nie widywał!

Zgiełk, gwar, muzyka, wytworne stroje dam i ich wykwintne
perfumy działały na
starzejącego się odludka, jak mocne, upajające wino. Odurzyła
go jeszcze
bardziej młodzieńcza świeżość pięknej panny Hanki. Postać
mecenasówny sprawiła
na Piotrze wrażenie jakiejś niespodziewanej rewelacji.
Ongi znał ją, jako dziecko tłuste i pyzate, te raz widzi śliczną,
pełną
niewysłowionych powabów pannę — cudny kwiat dziewiczej
urody, o przebogatych
kształtach i woni czarującej. Chłonał w siebie ten czar mocny,
siedząc obok niej
za stolikiem, na którym rozłożone były pierniki wszelkich
form i rodzajów. Panna
Hanka delikatnymi rączkami zawijała je w paczki i podawała
wystrojonym paniom i
wytwornym panom. Oni rzucali złote i srebrne monety na
tacę, otrzymując zamiast
„reszty” wdzięczny uśmiech pięknej przekupki.
W chwilach wolniejszych panna Hanka prowadziła z
towarzyszem wesołą rozmowę... o
niczem a tak przecież zajmującą, tak bogatą w treść
nieuchwytną, tak pełną

jakiegoś szczególniejszego znaczenia.

Uczuł się przeniesiony w inne, lepsze, piękniejsze światy.

Uczucie to

spotęgowało się jeszcze bardziej, kiedy po trudach

filantropijnych, zamkniętego

niebawem kiermaszu, udali się wszyscy na kolację. W

gabinecie restauracyjnym

zebrało się towarzystwo dość liczne, bo prócz rodziny

mecena-

sa znalazło się tam jeszcze wiele innych pań, panienek oraz
panów przeważnie

młodych i bardzo, bardzo eleganckich. Przy stole było

gwarno, hucznie i wesoło.

Perlił się szampan, perliły humory. Wtem nagle ktoś zasiadł
do pianina i zagrał

walca. Usunięto szybko stoły, stołki i puszczono się w tany.

Piotr, porwany

przez rozbawioną młodzież w ten wir szalony, bawił się, jak
młodzieniec —

szalał. Tańczył najchętniej z panną Hanką i ona z nim, zdaje
się, tańczyła dość

chętnie...

Nazajutrz rozmarzony był już wprost niebezpiecznie.

— Inny świat! — mówił do siebie, pieszcząc się

przesłodkami wspomnieniami,

minionej, jak sen czarowny, nocy. — Inny świat — odświętny
jakiś, piękny. A

jakże bogaty w barwy i blaski. Jakże istotnie odmienny jest
ten świat od tego

wszystkiego, czem sobie dotychczas życie wypełniał — biura,
cukierni na rogu i
lekcji z Lolą!
Lola w gruncie rzeczy jest straszliwie powszednia, jest
pospolita i pomimo
wszystko, na „dozgonną towarzyszkę życia” mniej
odpowiednia. Zresztą nigdy jej
tego nie przyrzekał. Z góry wszakże zastrzegł, że jako radykał
nie uznaje
żadnych konwencjonalnych związków, żadnych więzów
narzuconych, żadnych przesądów
towarzyskich, żadnych względów i względzików, które
krępują indywidualną swobodę
jednostki.
— Jesteśmy — tłumaczył jej — ludzie wolni,

i każde z nas może pójść sobie w swoją stronę, skoro tego
uczuje potrzebę.
Nie miał wobec niej żadnych zobowiązań. Dał dziewczynie
biednej wykształcenie;
dał jej możliwość podźwignięcia się z upadku i pójścia drogą
uczciwej,
samodzielnej pracy, misja więc jego skończona
Ugrzął w nawykach... w nałogu... Otrząśnie się z
przyzwyczajień, z nałogów i
zacznie żyć na nowo, życiem pełnym, właściwym dla ludzi
jego sfery i stanowiska.
Pozbędzie się głupich póż, niemądrych przesądów i pomyśli o
trwałem dla siebie
szczęściu.

Ale przyzwyczajenia bywają mocne. Dziesięcioletni stosunek z Lolą był przyzwyczajeniem bardzo mocnym. Piotr rozumiał, że otrząśnięcie się nie będzie ani łatwe, ani przyjemne i to go wprawiało w nastrój arcyponury.

Lola kilkakrotnie telefonowała do niego do biura, ale dość opryskliwie odpowiedział, że jest bardzo zajęty i nie ma czasu „na romanse”. W cukierni po obiedzie nie był, chcąc uniknąć pewnych rozmów z mecenasem. Wieczorem wszakże, o godzinie codziennych lekcji szedł do Loli z mocnym postanowieniem zerwania.

— Nie może, absolutnie nie może mieć do mnie pretensji — uspokajał się po drodze

— muszę przecież odzyskać osobistą swobodę ruchu, czynu...
Lola przywitała go gorącymi wybuchami czułości.

— Małpko, czemuś wczoraj nie był. Tak mi właśnie wczoraj ciebie brakowało.

Usiadła mu na kolanach. W oczach paliły się jej owe djabelskie płomyki. Piotr starał się zachować powagę.

— Nie, nie — wołała — nie będziemy dziś robili żadnych lekcji. Wykluczone...

— To nie o lekcje już chodzi — odparł prawie surowo. — Chodzi o coś nierównie ważniejszego... Musimy się rozmówić stanowczo.

W oczach kobiety odmalowało się przerażenie. Instynktem, w tonie i słowach

odczuła coś dla siebie niezwykle groźnego.

— Pieś, Pieś, co tobie znowu do głowy strzeliło.

Gwałtownym, bezpamiętnym
pocałunkiem wpiła mu się w usta.

— Nie chcę, nie chcę!

Mężczyznę ogarnęło nagle rozrzewnienie i żal bezgraniczny.

Jakby w poczuciu
zupełnej bezsilności do przeprowadzenia powziętych
zamierzeń, zmienił nagle
postanowienie.

— Musimy się pobrać — wyrwało mu się...

— Jakto?

— Hm, cóż, trzeba w końcu uleść wymaganiom środowiska...
weźmiemy ślub legalny.

Kobieta, oszalała z radości, zaczęła się tarzać po dywanie,
śmiać nerwowo,
wykrzykiwać niezwiązane słowa, wreszcie wybuchnęła
spazmatycznym płaczem.

Skoro się nieco uspokoiła, stanęła przed Piotrem poważna,
solenna.

— Pieś, prawda to?

— Prawda.

— I będziemy razem mieszkali?

— Tak.

— I nie będziesz już chodził do tej zadymionej cukierni na
rogu?

— Owszem będę.

— Ach, ty, ty radykalny konserwatysto!

— Proszę cię Karolino — zgromił ją ostro — proszę cię, nie
używaj określeń,

których istotnego znaczenia nie rozumiesz. Nie wiesz czym jest ten mój radykalny konserwatyzm dla ciebie... Właśnie dla ciebie...

NOWA SZLACHTA.

Tak mi opowiadał nieznany młodzieniec:
Pan Orgon nacisnął pedał gazownicy z lubością, właściwym, jedynym w swoim rodzaju, gestem wytrawnego automobilisty ujął kierownik i pomknęliśmy w przetworza...
Siedziałem obok niego na miejscu szofera, którego odrzuciliśmy na tył powozu.
Pan Orgon, zabierając mnie do samochodu na tę króciutką — jak mówił — wycieczkę po Europie, czynił to w pewnych osobistych widokach, z czym się zresztą nie taił bynajmniej.
— Dobrze jest mieć ciągle kogoś inteligentniejszego pod ręką,
— tłumaczył — z kimby się można odrazu na gorąco dzielić myślami. Będziemy przejeżdżali przez różne kraje, widzieli różnych ludzi. Na opisywanie wrażeń z podróży w dobie

dzisiejszej czasu stanowczo znaleźć nie podobna, dlatego też
uważaj pan bacznie
na moje słowa, bo niejedno z nich ważne i pełne znaczenia,
nie powinno przepaść
dla potomnych.
Jedziemy zatem. Mam jednak na razie wra-

żenie, że owa potrzeba dzielenia się myślami jest czystym
złudzeniem, czy
zbytkowną fanaberją pana, którego stać na wszelkie fanaberje,
który też
lekkomyślnie obciąża swój H. P. balastem kilogramów żywej
wagi, nie licząc
moich manatków, co prawda nienazbyt ważkich, ale równie,
jak ja, niepotrzebnych;
bowiem wobec szybkości kilometrów na godzinę o
jakiegokolwiek wymianie myśli
mowy być nie może.
Bezmyślność szybkości ogarnia nas całkowicie: przed oczyma
migają nieuchwytnie,
nadmiernie rozszerzone, jakby rozdarte, kształty drzew,
domów, ludzi, zwierząt.
Rwaliśmy przed sobą białą szosę kawałami — pochłaniali
przestrzeń z jakąś
szaloną, nienasyconą żarłocznością. Gwałtowny pęd powietrza
zapierał dech w
piersiach; kłęby kurzu zasypywały usta. Nie podobna było
wymówić słowa bodaj
najmniejszej wagi.
Mijaliśmy wsie, miasteczka, miasta.

Wtem pan Orgon zwolnił biegu. Przez potworne okulary automobilowe spojrzął w błękitne niebo i westchnął.

— Psia kość, piękna jest natura!

Zanotowałem dokumetnie w pamięci to głębokie postrzeżenie automobilisty.

Rzeczywiście majowe słońce wyiskrzyło krajobraz wesołą światłością, że śmiał się cały, niby rozradowany swą krasą wiośnianą. Cudne niebo bezchmurne było mi-

łem ciepłem, rozgrzana ziemia pachniała rozkosznie.

Samochód toczył się coraz wolniej.

Pan Orgon wdychał w piersi woń pól zielonych .

— Ach — mówił — że też pora majowa ma w sobie zawsze coś rozmarzającego. Efekt

młodej wiosny, która przychodzi po zimie...

— Już tak co roku — wtrąciłem.

— Pewnie... ale... ale... nie zapomnij pan, że i ja także kiedyś byłem w pańskim wieku.

— Pochlebiam sobie.

— I nie posiadałem własnego samochodu — dodał z dziwnym uśmiechem.

— Wielu ludzi w moim wieku nie posiada własnych samochodów.

— I słusznie: Młodość łatwiej znosi prywacje, które dla getlemana w pewnym wieku stanowią przykrość nie do zniesienia.

— Znam gentlemanów w pewnym wieku którzy podobne przykrości, jak brak samochodu,

znoszą wcale heroicznie.
Skrzywił się pogardliwie.
— Phi! Nie wiem! Ja osobiście nie wyobrażam sobie
poprostu, jak mógłbym się dziś
obejść bez tej maszyny cudownej, która mię w kilkadziesiąt
godzin przenosi z
jednego końca kontynentu na drugi, jak wogóle nie
wyobrażam sobie możliwej
egzystencji bez wielu innych materialnych i mo-

ralnych potrzeb zbytkownych. Myślę, że niesłusznego użyłeś
pan określenia,
mówiąc o tych panach, którzy wspomniane przykrości znoszą
heroicznie. Nie,
panie. Z nazwą: gentleman, galantuomo, gentilhomme,
szlachcic, łączy się cały
szereg pojęć o wyższości, godności, wspaniałości a
przedewszystkiem o wolności —
o tym najcenniejszym przywileju ludzi wybranych,
swobodnego przejawiania swego
własnego „ja”. Czyż można, proszę pana, to miano zastosować
do osobnika, który
na każdym kroku powiada sobie: Tego mi niewolno, to dla
mnie niedostępne, tamto
za drogie? Czyż można — proszę pana — mówić o godności
osobnika który
przyjaciółce, przywykłej do apartamentu za dwa tysiące rubli,
do licznej służby,
do własnego powozu i własnych koni, ofiarowuje skromne
mieszkanko na piątem

piętrze z ewentualną pomocą stróżki domowej, a ze środków lokomocji — tramwaj lub, w najlepszym razie, dryndę jednokonną? Czyż można mówić o jego wspaniałości, jeżeli ukochanej odmawia okrycia z pierwszorzędnego magazynu, lub kilku piękniejszych brylantów od jubilera? Czyż może być mowa o wolności nędzarza, który na wezwanie najdroższej serca swego nie pośpieszył do Biarritz lub Ostendy, bo nie mógł dostać urlopu w instytucji, w której pracuje... ba, nie poszedł na rendez-vous z ukochaną do ogrodu Botanicznego, bo właśnie wypadło to w czasie godzin biurowych? Nie, panie, dziś, w epoce demo-

kratycznej, kiedy przywileje i tytuły rodowe w znacznym stopniu stały się pustym dźwiękiem, prawdziwa arystokracja, prawdziwa elita społeczna, rzeczywista szlachta — to jest stan ludzi wolnych, rekrutuje się z innych zupełnie elementów.

Ludzie pracy, ludzie obowiązku zawodowego, niezależnie od godności, tytułów, rang społecznych, niezależnie od upodobań, wykształcenia i wyrobienia towarzyskiego, niezależnie od stroju, manier i wszelkich pozorów zewnętrznych, to w rzeczywistości tylko chłopstwo nowożytne, pańszczyźniacy, nowożytni heloci.

— Rozumiem: zawołałem domyślnie, trzeba mieć tyle dowcipu, ażeby odrazu przy urodzeniu wybrać sobie odpowiedzialnych rodziców.
— Albo sobie zdobyć niezależność własną siłą.
— Pracą i oszczędnością?
— Wszelka praca, a zwłaszcza praca zawodowa, jest zaprzeczeniem szlacheckiej wolności — odparł poważnie pan Orgon.
— Więc kradzieżą i rozbojem?
— Fi, donc. Dobrze to było w wiekach średnich, kiedy prawo silniejszego panowało wszech- władnie. Ludzie odważni, mocni, przedsiębiorczy zabierali, co się dało sąsiadom, a ich samych zmuszali do poddaństwa. Tak powstawał feudalizm. Ale już feudalizm ujął to w pewien system i ograniczył swobodę jednostki. W epokach tych ce-

niono odwagę osobistą, męstwo, poświęcenie i ostatecznie, wolność zdobywano niekiedy śmiałymi czynami wojennymi. Czasy rycerskie jednak krótko trwały. Już w XV i XVI wiekach coraz częściej nabywa się ją za pieniądze. Za usługi bankierskie, świadczone królom i panom, ludzie sprytni dostawali przywileje szlacheckie i do najwyższych dochodzili godności. Co prawda, połączone to czasem bywało z dość skomplikowanymi formalnościami. Wypadało przechodzić stopnie

świerciałków, włodzików, czepiać się jakiegoś możnego rodu,
póki się ród własny
od podlejszych stanów całkowicie nie odkrewnił. Dziś jest to
nierównie

łatwiejsze ze strony formalnej, ale z powodu nadmiernej, a
często nielojalnej

konkurencji w tym kierunku, wśród demokracji współczesnej
może nawet znacznie

trudniejsze ze strony czysto rzeczowej.

Przyznam się patrzyłem na pana Orgona pełen podziwu i
zaciekawienia. Sprawiało

mu to snadź pewne zadowolenie. Wlekliśmy się teraz tak
wolno, że wyprzedził nas

chłopski wóz drabiniasty, zaprzężony w parę drobnych, lecz
żwawych koników.

Jechaliśmy więc wśród gęstego tumanu kurzu. Automobilista,
zajęty rozwijaniem

swoich myśli, nie zwracał na to uwagi. Widząc moje
zaciekawienie, uśmiechnął się

błogo.

— Ha, rozmarzyła mię wiosna — rzekł miękkiem tonem —
maj, natura. Stać mnie na

ten zbytek. Rozmarzyło mnie słońce i ni ztąd, ni zowąd, cisną

mi się na usta wspomnienia młodości. Dlaczego sobie mam
żałować? Słuchaj tedy,

młodzieńcze, dla pana może to być nader pouczające, a
wszakże mogę sobie

pozwolić na udzielenie panu garści zdrowych, praktycznych
nauk.

Przechylił głowę melancholijnie i mówił:

— Tak, tak i ja kiedyś byłem młody, naiwny, pełen marzeń,
pełen zapału do
pracy...

Ha, ha — zaśmiał się — do pracy! Psiakość!... Po skończeniu
politechniki

zabrałem się samodzielnie do opracowania pewnego
wynałazku. Zakładałem sobie na
nim fundamenty całej swojej przyszłej egzystencji. Nie mając
odpowiednich

funduszków, nie liczyłem na to, ażeby sam go mógł
eksploatować. Zbyt trzeźwo

patrzyłem na rzeczy.

Miałem jednak widoki sprzedania pomysłu starszemu
inżynierowi, który by go pod

swojem imieniem w świat puścił. Byłbym za to otrzymał kilka
tysięcy i ożenił się

z prześliczną, zakochaną we mnie na zabój, dziewczyną,
która, nawiasem mówiąc,

miała także niewielki posazek. Moznaby coś założyć na
początek... Tymczasem...

Masz djable, redutę... Pomysł mój wymagał jeszcze dwóch do
trzech miesięcy

trudu, a tu nagle funduszków na życie zabrakło. Byłem zawsze
uparty. Zawzięłem

się. Jak Bernard Pallissy palił ostatnie krzesło, tak je ostatni
kubrak

zaniósł do żyda.

— Bernard Palissy — wtrąciłem — palił stołki w piecu dla
osiągnięcia odpowiednio
wysokiej temperatury.

— Ja musiałem palić w swoim własnym organizmie — odparł pan Orgon — ażeby otrzymać temperaturę, konieczną do wprowadzenia w dość intensywny ruch cząstki szarej materji mego biednego mózgu. Trzeba było codziennie pewnej ilości azotu, białka, tłuszczu... Zwróciłem się z błaganiem do krewnych, znajomych i przyjaciół. Jeden z przyjaciół dał mi trzy złote, jeden z krewnych przysłał trzy ruble. Zrażony, zniechęcony, zrozpaczony, odwróciłem się na barłogu twarzą do ściany i chciałem umierać. Aż tu wchodzi do mojej mansardy... He, he... dziwna figura! Pospolicie ludzi tego rodzaju uważają... za lekkomyślnych.

— Co tobie? pyta.

— Umieram z głodu.

Opowiedziałem mu o swoich zawodach, o decepcji, o niechęci do ludzi, do całego świata.

Po cóż, ośle kwadratowy, mówiłeś im, że ci potrzeba na żarcie, na opał, na światło, na buty lub na coś równie niezbędnego? Trzeba było raczej wymyślić jakąś kochankę, wymagającą na gwałt nowego kapelusza, albo...

Uderzył się w głowę.

— Czekaj, mam myśl. — Dług honorowy! Słuchaj: sprzeniewierzyłeś cudze pieniądze.

Powiedzmy — tysiąc pięćset rubli. Wystarczy ci tysiąc pięćset?

— Wystarczy.

— Doskonale!

— Jako człowiek honoru, nie możesz tego przeżyć. Pieniądze były własnością
biednej wdowy.

— Człowiek honoru — zauważyłem — opowiada pan Orgon
— nie sprzeniewierza
pieniędzy biednej wdowy.

— Głupiś! Namiętność jest wielką namiętnością. Przegrałeś te
pieniądze w karty.

— Nigdy w karty nie grywam.

— Trzeba to koniecznie przegrać w karty. Tak jest. Ludzie,
wśród których mam
zamiar dla ciebie operować, szczególnie są na tym punkcie
wrażliwi. Siadaj
natychmiast i pisz do mnie list rozpaczliwy, gwałtowny,
namiętny, pełen bólu i
krzyku, że przegrałeś trzy tysiące rubli...

— Mówiłeś: tysiąc pięćset...

— No! wiesz, — rzecze mi cynicznie — nie chcę
nadszarpywać sumki, jaka ci się
należy, a muszę i ja coś przy tym interesie zarobić.
Uznałem całą słuszność podobnej uwagi, napisałem do niego
list, jak kazał, a on
zabrał go z sobą, ażeby wrzucić do puszki.

W kilka dni przyniósł mi pieniądze. No, ma się rozumieć, —
kończył pan Orgon —
obleliśmy sprawę sownie. Wróciłem do domu pijaniusieńki.
Na drugi dzień...

— Zabrał się pan do swego pomysłu? — wtrąciłem.

— Gdzież tam — zaprotestował. — Na drugi dzień
oczywiście przyszedł kacenjamer,
kociokwik

panie, nieznośny, obrzydliwy ból głowy i co za tem idzie.
Wieczorem była znowu
biba.

— Kiedyż pan wreszcie — spytałem — zabrał się do
ukończenia swojej pracy?

— Nigdy. Żadna praca nie popłaca. Każde dzieło rąk i umysłu
ludzkiego —

tłumaczył mi pan Orgon — jest fatalnie ograniczone czasem.

Doba ma tylko

dwadzieścia cztery godziny. Każda z najlepiej opłaconych
godzin, potrzebnych na

wytworzenie dzieła, jest jedną dwudziestą czwartą doby.

Gdybym do dzieła tego

zwołał rzesze współpracowników i zgarnął znaczną nawet
nadwartość, to i tak

jeszcze wobec ograniczoności czasu łatwo przewidzieć jej
granice. Jedna rzecz

jest tylko nieograniczona w czasie: to pośrednictwo. W ciągu
kilku minut mogę

tak samo załatwić sprawę za kilka rubli, jak za kilka czy
kilkadziesiąt tysięcy.

Na jednej z bibek przy szampanie poznałem się z

jegomościem, który mi powierzył

przedstawicielstwo wielkiej amerykańskiej fabryki czapek
niewidek.

— Czego?

— Ach, takich cudownych czapeczek... zresztą bez gwarancji...

— To jakieś oszustwo?

— Proszę pana — nikogo nie zmuszaliśmy do kupowania naszych czapek...

czarodziejskich. Ale do prawdy niema tak idjotycznego głupstwa, którego przy reklamie odpowiedniej ludziska nie

kupili. Ha, mundus vult decipi... a skoro chce volenti non fit injuria...

— Zarabiałem sumy bajeczne — ciągnął dalej automobilista, już jednak jakby tonem

ponurym.— Zarabiałem sumy ogromne — mówił, nie patrząc mi jak dotychczas w oczy,

lecz gdzieś przed siebie. — Oczywiście nie mogłem się w tych warunkach żenić z

dziewczyną, której cały posąg mniej wynosił niż przeciętny mój roczny zarobek...

Stała się rzecz przykra... Kobiety są egzaltowane, nieobliczalne, fantastyczne.

Kto mógł przewidzieć?... Zresztą trudno — wtedy jeszcze na fantazje pozwalać

sobie nie mogłem. Musiałem się ożenić bogato. Wziąłem córkę bankiera... Teraz

wszystko mi wolno.

Niby jakieś bolesne wspomnienie wykrzywiło pogodne i zadowolone dotychczas z

siebie oblicze pana Orgona. Wzdrygnął się...

— Mam na sumieniu życie dziewczyny... Ciągnęliśmy się stale od jakiegoś czasu za

wozem, w obłoku, podniesionego kołami jego, kurzu.
— Łajdak, kurzy nam w ślepią! — krzyknął niecierpliwie mój
znakomity
automobilista i, biorąc większą szybkość, skręcił samochód,
ażeby wyminąć
chłopa. Stało się to w tak nagłym tempie, że anim się
spozstrzegł, kiedyśmy się
przed konie wysworowali. W tej właśnie chwili — widziałem
— za-

majaczyło coś przed samym automobilem i wraz przerażający
jęk rozdarł powietrze.

Odwrociłem się:

Na białej wstędze szosy za nami poruszała się ciemna,
spłaszczona masa.

— Zmiatajmy! — odmruknął ze złością pan Orgon —
przejechałem, psiakość, jakiegoś
psubrata, niedołęgę, żeby go pokreśliło. Łajdak!

— To jednak i panu nie wolno przejeżdżać ludzi? — rzekłem,
widząc, jakby
przerażenie na jego twarzy.

— Owszem, wolno — odparł z powagą. — Wolno, bowiem,
zanim chłopci zmiarkują, co się
stało, na maszynie mojej będę ztąd o dwadzieścia wiorst,
zanim pomyślą o pościgu

— będę ztąd o dwadzieścia mil... I szukaj wiatru w polu. Inny
kraj, inne
państwo!...

Widzisz że mi wszystko wolno — kończył, przesuając
przekładnię.

Rwaliśmy jak wichur. Straciliśmy poczucie gruntu pod kołami powozu. Zdawało się, że olbrzymi nasz wehikuł fruwa nad szosą. Nagle... trach! Nie wiem, co się stało. Jakby wyrzucony z trampoliny wyleciałem w powietrze. Jednocześnie ogłuszył mnie huk straszliwy, a słup ognia olśnił oczy. Straciłem przytomność...
Ocułem się na drzewie. Wisiałem na potężnym konarze przydrożnej topoli nadwiślańskiej — obolały na całym ciele, ale bez poważniejszego

szwanku. W takim samym stanie znaleziono szofera na drugim drzewie. Pana Orgona natomiast ani śladu. Snadź strawił go do cna płomień wybuchającej benzyny. Zresztą zniszczył on doszczętnie wszystkie nieżelazne części samochodu. Ziemska powłoka tego niepospolitego ducha nie była, niestety, żelazna!..
Oto cała prawda o panu Orgonie — kończył nieznany młodzieniec. — Chciałbym, ażeby pan ogłosił wszystko com tu opowiedział, w jakim poczytnym dzienniku. Chodzi mi o to, aby nie przepadło nic z myśli niezwykłego człowieka- myśli, wypowiedzianych w ostatnich chwilach tego pełnego chwały żywota. Był to istotnie gentleman, w całym słowa znaczeniu — szlachcic najnowszej,

oryginalnej formacji i pan mi, jak mniemam, przez pamięć na
dostojeństwo tej
postaci szanowanej, powtórzenia w piśmie całej mojej
opowieści nie odmówi...
Uklonił się i wyszedł...
Usiadłem do pisania, przyczem starałem się opowieść
nieznanego młodzieńca
powtórzyć możliwie najdokładniej.

NUDA.

Zerwał się z siennika, jakby podrzucony jakąś niewidzialną a
potężną siłą.

Upiorne przerażenie wykrzywiło jego rysy.

Blady, drżący stał chwilę nieruchomo z nadmiernie
rozszerzonymi oczyma.

Groza zjeżyła mu włosy.

Ważył w sobie wspomnienia okropne.

— Stało się.

Niby dziki zwierz w klatce zaczął się miotać bezsilnie w swej
ciasnej izdebce.

Biegał gwałtownie z kąta w kąt. Rozbijał się impetycznie o
ściany.

Stanął wreszcie.

Snadź pozbył się ostatecznie wahań. Zaciął wargi jak
człowiek, który powziął

stanowczą decyzję. Ściągnął brwi tak, że głęboka brózdka przecięła blade czoło.

Siadł przy stoliku i pisał:

„Stało się. Działąłem w przystępie szaleństwa.

Byłem obłąkany w chwili, kiedy popełniłem ohydny, bezużyteczną zbrodnię"...

— Obłąkanie... szaleństwo?

Kto uwierzy w szaleństwo? Czy znajdzie się na całym świecie sędzia tak genialny, ażeby intuicja jego ogarnąć mogła ogrom niesłychanie szczególnych powikłań w duszy ludzkiej? Będą logicznie szukali przyczyn najbliższych, przeciętnych, najogólniejszych.

I znajdują je z łatwością.

Stanowisko moje w społeczeństwie, oraz stanowisko moje w tym wielkim domu, to

motywy najzupełniej wystarczające. Z podobnych wskazań nie trudno o najprostsze,

najłatwiej dla pospolitych poczciwców zrozumiałe dedukcje.

Głodomór z czwartaka,

człowiek bez określonego zajęcia, czy wogóle bez wszelkiego zajęcia, łapserdak,

nie posiadający kosztownych mebli i eleganckiego ubrania, zabija zamożnego

sąsiada z pierwszego piętra, ażeby go ograbić.

To takie naturalne.

Kto zechce grzebać się w duszy neurastenika i wymacywać tam ślady nikłych

patologicznych odchyłeń?... Nikłych, przecież
najistotniejszych, bowiem...

bowiem... ha, ha, ha...

Ba, gdyby jeszcze jakaś anamneza naukowo stwierdzona,
jakieś znane komukolwiek
obarczenia dziedziczne, jakieś poprzednio zauważone objawy
rozstroju umysłowego.

Ale gdzież tam. Rodzice moi, najnormalniejsi w świecie
ludzie pomarli sobie
pocziwe z chorób

najpospolitszych. Papa miał wadę serca, mama zapalenie
wyrostka robaczkowego.

O dziadach i pradziadach także nic osobliwego nie słyszałem.

Ktoś zginął pod

Wawrem, ktoś zginął pod Możajkiem, inni z rodziny
odsiadywali nawet długie lata

więzienia, ale, doprawdy, nie za zwykle przestępstwa
kryminalne. W całym mojem

życiu, może zresztą niezupełnie po filistersku poprawnem, czy
poprawnie

filisterskiem, niema również momentów, któreby wskazywały
chorobliwą

predyspozycję do ostrych napadów furji. W całym tem życiu,
zapewne idjotycznie

beżładnem, karygodnie niepraktycznem, pełnem
bezsensownych wybryków i

ekstrawagancji, niema przecież znamion choroby,
wyłączającej odpowiedzialność

moralną.

Nie, to by się na nic nie przydało. Nie mam też zamiaru
zasłaniać się
niepoczytalnością. Owszem, poza niniejszym wyznaniem,
które pozostawiam raczej
dla ciekawości uczonych, niż dla własnej pod jakimkolwiek
względem korzyści,
nikomu w świecie, w najpoufniejszych zwierzeniach nie
odkryję istotnych motywów
tego czynu. A po cóż miałbym z tego robić publiczne
widowisko podczas rozpraw
sądowych?

Nie, przenigdy! Raczej wezmę na siebie całe odjum
najwulgarniejszej zbrodni dla
interesu. Niech sąd rozważa ją według swej klasycznej
kryminologii. jako
abstrakcyjną istność prawną, nie zajmu-

jąc się zgoła osobą przestępcy, którego należy tylko ukarać
według przyjętych
ogólnie kryterjów. Stanę przed sądem jako zwykły opryszek,
który, korzystając z
uchylonych drzwi w mieszkaniu człowieka zamożnego,
wcisnął się tam, ażeby
nieszczęśnika zamordować i ograbić. Słowem, nie wspomnę,
żem się nie raczył
nawet schylić po jedno z tych bezcennych, nagromadzonych
tam cacek
artystycznych, żem przechodził obojętny obok misternych,
sadzonych drogiemi
kamieniami sprzętów, żem bez żadnej pożądlivosti patrzył na
cudną, rozwieszoną

na ścianach broń wszystkich krajów i wszystkich epok, żem
nie tknął jednej
sztuki złota, jednego drobiazgu, któryby mi mógł jakakolwiek
przynieść uciechę.

Nie wspomnę o tem, bo by mi zresztą nie uwierzono.

Stało się. Żadna siła ziemską nie odmieni karty wydarzeń.

Widziałem jak odcięta

jataganem głowa odpadła od tułowia i toczyła się z tępym
łaskotem po

zaścielających wytworną komnatę dywanach. Widziałem, jak
z otwartych arterji

buchnęły czerwone strugi i biły, niby koralowe fontanny, na
wzorzyste jedwabie

poduszek, rozrzuconych w nieprawdopodobnej mnogości na
otomanie, na której go

zaskoczyłem...

Morze krwi...

Strach, jakie bezmiary krwi wyrzuca z siebie okropne,
bezglowe cielsko ludzkie.

Stałem nieruchomo, bacznie obserwując w blaskach światła
elektrycznego proces

zastygania. Zdawało mi się, że czynem tym zdobędę klucz do
najwyższej zagadki

bytu, że stanę u progów tajemnicy życia i śmierci.

Odrąz jednak poznałem całą bezcelowość podobnego
eksperymentu. Było to brutalne

i niewypowiedziane płaskie. Uleciało życie, życie
niesłuchanie bogate w

doznania najrozmaitszej natury, życie człowieka, który
pełnymi haustami pił z

czary rozkoszy, który świat cały przewędrował, jak długi i szeroki, który wiele widział, wiele czuł i wiele myślał. Uleciało życie przez przecięte arterje i pozostała rzecz martwa.

Było to przedewszystkiem ogromnie śmieszne, ale zarazem niewysłowienie straszliwe. Uprzytomniłem sobie, że będę musiał przyjąć za to odpowiedzialność.

Bo gdyby nawet najszcześniejszy zbieg okoliczności pozwolił mi uciec przed sprawiedliwością ludzką, wiedziałem, że przed samym sobą nie ucieknę.

Postanowiłem tedy pójść natychmiast do domu i spokojnie oczekiwać na konieczne w tych razach ewentualności — na karę, na karę najokropniejszą, bo hańbiącą. Nie mogłem się łudzić. Wszystkie pozory miałem przeciwko sobie. Nie będę się też ośmieszał dziecinnymi wykrętami. Potrafię po męsku przyjąć następstwa chwilowej aberacji umysłowej, aż do ostatecznych konsekwencji.

Nie zabijaj!..

Ha, ha! Są chwile, które zniekształcają charakter nieprawdopodobnie...

Pismo to pozostanie anonimem. Nie kładę tu nawet swego imienia. Wynurzeniami temi nie pragnę rehabilitować swego nazwiska, swej dobrej sławy, bo zresztą

wobec pewnych wydarzeń zatracą się poczucie granic złego i dobrego.

Najbezinteresowniej tedy jedynie, jak powiedziałem, dla ciekawości psychologów

opowiem fakt nagi:

Z panem Astolfem, przyszłą moją ofiarą, spotkałem się przed bramą domu. Było to

po północy. Ja wracałem z bezmyślnej włóczędzy po polach, on z jakiejś biesiady

przyjacielskiej.

Był straszliwie znudzony.

Stróż domu, trzeba zaznaczyć, snadź poczciwiec czyste ma sumienie — sypia

zazwyczaj, jak zabity. Staliśmy przed bramą przeszło godzinę, naciskając kolejno

guzik dzwonka elektrycznego.

Zaczęła się rozmowa... bez prezentacji — rozmowa o nicości życia. Wynikła ona

samorzutnie z nastroju naszych humorów. Zasadniczym tonem humoru pana Astolfa

był spleen, zresztą był on zasadniczym punktem wyjścia jego filozofji.

— Poczucie nicości życia — mówił on — rodzi się z pracy myśli, która bada rzeczy

do dna i nieznajduje tam nic. Tak dochodzi się do ostatecznego celu

wszechrzeczy, do nudy, do znudzenia filozoficznego lub metaficznego, które w

gruncie

rzeczy jest jeszcze najmniej dotkliwie. Owszem to jedno
jeszcze pozwala na
rezygnację życia wśród durniów i niegodziwców. Tak, panie,
prawdziwa mądrość i
prawdziwa dobroć opierają się na tem absolutnem,
bezgranicznem znudzeniu, na
mocnem przeświadczeniu, że wszystko na świecie jest błahe i
bez znaczenia. To
tylko może doprowadzić do bezwzględnej dobroci, czyli
obojętności, uwarunkowanej
przez politowanie i pogardę. Teofil Gautier lubił powtarzać:
„Nic się na nic nie
przyda, przedewszystkiem zaś niczego niema, niemniej
wszystko się może wydarzyć,
ale to wszystko razem nic nie znaczy". Na podstawie ścisłej
analizy życia, Marek
Aureljusz doszedł do wniosku, że nie różni się ono niczem od
śmierci...
Stróż wreszcie bramę otworzył. Tłumaczył się biedak, że jeno
pierwszy sen miewa
taki twardy. To znowu dało panu Astolfowi asumpt do
przeprowadzenia pewnych
analogji między snem a Nirwaną.
Wstępowaliśmy po schodach. Przed drzwiami swego
mieszkania zatrzymał mnie i
wziął pod rękę:
— Wiesz pan — zaczął — wypilem dziś w kompanji morze
czarnej kawy. Nie zasnę.
Wstąp pan do mnie na kieliszek koniaku — pogadamy o
Nirwanie. Mam trochę
ciekawych okazów, przywiezionych z Indji... zresztą z innych
stron świata —
dodał z dziwnym uśmiechem.

Zrozumiałem ten uśmiech. Mieszkanie jego, urządzone z niesłychanym przepychem, wyglądało, jak przeraźliwe muzeum śmierci. Zebrał tu najstraszniejsze, na jakie fantazja ludzka zdobyć się może, narzędzia mordy i tortury. Na ścianach porozwieszane panoplia z broni różnych ludów. Dziwne sugestje! Pan Astolf, objaśniając ich pochodzenie etnograficzne, z jakąś dziwną lubością opowiada o skutkach strzał zatrutych, o okropności ran, zadanych przez zazębione ostrza mieczów. W gablotkach ukazuje mi najzjadliwsze trucizny, zamknięte w drogocennych kryształowych flakonach. Dalej w pokoju, obitym jedwabnemi i wzorzystymi tkaninami, słoiki szczególniejszych kształtów. To haszysz — przedziwna konfitura z konopi indyjskich, dająca radość i zapomnienie. Gościnnie gospodarz zaprasza: — Nie spróbuje pan? Odmówiłem. Odmówiłem też zaproponowanej mi fajki opjum. Przyjąłem natomiast kieliszek koniaku. Przyznaję: byłem na czczo dnia tego. Tak się jakoś złożyło... Piliśmy ten koniak w pokoju, wysłanym od góry do dołu wschodnimi kobiercami i

zawieszonym wschodnią bronią. Na niskim, maurytańskim stoliku obok maurytańskiego nargileh stanęła ta-

ca z butelką koniaku i całkiem już europejskimi kieliszkami. Pan Astolf napełniał je, skoro się tylko opróżniły, przyczem opowiadał o swych zbiorach. Zdjął ze ściany jatagan janczarski — straszny, obosieczny, wyostrzony, jak brzytwa. Miał on być niegdyś własnością jakiegoś beja, który ścinał nim głowy od jednego zamachu. Obecny właściciel kazał mi podziwiać przedziwne zalety głowni i bogactwo rękojeści. Odrzuciłem miecz na otomanę. On nie zawiesił go już na ścianie. Leżał między mną a nim, niby wąż kusiciel, błyszczący, jasny, zjadliwy. Zdawało mi się, że czuję od tej broni straszliwej zapach ciepłej krwi"... Przestał pisać i podniósł głowę, nasłuchując. Na kurytarzu rozległy się czyjeś kroki. Dom budził się z uśpienia. Sąsiedzi wychodzili do ранnej pracy... Znowu kroki. Tym razem tuż przy drzwiach jego mieszkania. Kroki kilku osób. Niezawodnie odkryto zabójstwo. Przychodzą szukać przestępcy. Zapukano. Postanowił mężnie przyjąć następstwa swego czynu, a jednak dreszcz przerażenia wstrząsnął ciałem.

Zrazu uczuł potrzebę ukrycia się. Obejrzał się po pokoju.

Uciec! Uciec za wszelką cenę!

Małe, mansardowe okienko wychodziło na dach.

Już rzucił się w kierunku okna tego, ale się nagle opanował.

Staął wyprostowany i mocnym, zrezygnowanym głosem zawołał:

— Proszę wejść...

We drzwiach ukazał się pan Astolf we własnej osobie, a za nim lokaj ze srebrną

tacą, zastawioną wykwintnem szkłem i porcelaną.

— Jaktó, pan? pan? — krzyknął z niewypowiedzianem przerażeniem. — Pan tu?.. Ależ

ja pana zamordowałem!..

— Ależ pan ma słabą głowę, panie kochany — odparł ze śmiechem przybyły. — Po

kilku kieliszkach koniaku tak się awanturować!..

— Więc byłem pijany?

— Był pan w siódmym niebie.

— Nie, panie. W piekle, w najokropniejszym, najczarniejszym piekle. Ten koszmar

straszliwy a tak wyraźny, a tak rzeczywisty! Doprawdy nie rozumiem, czem to

wytłumaczyć? Tem tylko chyba że... że...

— Że był pan naczczo.

— Jaktó, więc pan wie?

— Sam mi to pan powiedział.

— Po pijanemu?

— W stanie błogiej nieświadomości.

— Ach, panie, jakże się wstydzę.

— Niema czego. Rozumiem, że może się coś podobnego wydarzyć młodzieńcom, którzy się jeszcze łudzą, że warto coś dla ludzi robić, tworzyć, zabiegać... Jakieś nieobliczenie się ze środkami, jakiś rachunek, jak wszystko, co ludzkie, niezbyt dokładny...

— Rzeczywiście nie obliczyłem się. Zacząłem dzieło większe... Funduszków nie starczyło. Wyprzedalem się... no, proszę mi wierzyć, do ostatniego grata... Aż wreszcie wczoraj zabrakło na obiad...

— I na kolację?

— I na śniadanie...

— Dlatego też pozwoliłem sobie zaprosić się do pana na swoje własne śniadanie.

Przy sposobności będziemy mogli pogawędzić o pańskim dziele. Może się da co zaradzić.

— Oh, panie, to jeszcze daleko do końca... bardzo daleko.

— Ostatecznie sprzedamy jatagan, który pana tak irytował. Turkusy i rubiny na jego rękojeści warte są przynajmniej kilka tysięcy rubli.

— No... właściwie... tyle nie potrzeba... ot kilkanaście... kilkadziesiąt...

nawyżej — sto...

— Proszę pana, ja się tak strasznie nudzę— niech pan będzie ze mną bez ceremonji...

Wyciągnął banknot.

— Tymczasem mogę panu służyć tą drobnostką.
Młodzieniec wahał się przez chwilę. Był strasznie
zażenowany.

— Ach, panie, jak to dobrze, że ja pana nie zamordowałem...

NOC SYLWESTROWA.

Zaiste, niebezpieczne są sennie upojne tony modnych dziś
walców. Jakiś
oszałamiający czar, jakaś słodko narkotyczna zmysłowość
płyń w ich leniwym,
omdlewającym rytmie.
Rozkołysały się bezpamiętnie nerwy, dusza, wyobraźnia...
Ach, walc wolny i alabastrowe ramiona pani Zofji świętego by
wciągnęły w występny
krąg gorącego marzenia...
Janek wie bowiem najmocniej, że tylko w marzeniu może
popęłnić grzech, jakiego
się dopuszcza względem tej kobiety, tak przecież ze wszech
miar dalekiej, że
tylko w najtajniejszych skrytkach świadomości wolno mu się
przyznać nieśmiało do
uczucia... do tego, jak niewypodzianie błogą przeżywa chwilę,
kiedy ma ją w

objęciach, — kiedy ma przy sobie ją całą, z tą cudną
doskonałością kształtów i
olśniewającą białością ramion toczonych.
Zarumienił się, niby żak, bo mu się zdało, że piękna pani
przyłapała go na
gorącym uczynku łakomego pochłaniania wzrokiem jej rąk
obnażonych.

Rzeczywiście, nie mógł się oprzeć pokusie, ażeby nie patrzeć
zbyt może natrętnie
na to prześliczne tancerki przedramię okrągłe, wysuwające się
z pod delikatnego
upięcia z jakiejś dziwnie zwiewnej — rzekłbyś tkanka pajęcza
— liljowej materji
jedwabnej. W zawrotach walca jaśniało mu ono przy twarzy
tak blisko, że prawie
czuł bijące odeń ciepło. Misterne, zdobiące kraj tkaniny złote
wisiorki zapalały
się tysiącami drobnych iskierek od rozrzuconych po sali
balowej świateł
elektrycznych i migotały fascynująco na matowej białości
ciała. Podnosiło to
jeszcze w sposób niewysłowiony powab karnacji.
Tancerka snadź istotnie w tych nad miarę zachwyconych
spojrzeniach odgadła treść
tajonych pożądań młodzieńca i uczuła się tem przykro
dotknięta, bo cień smutku
padł na rozpromienione jeszcze przed chwilą oblicze. Pełne,
czerwone jej usta
wygiął lekki grymas cierpienia. Zaczęła się w tańcu ociągać...

— Dosyć! — rzekła wreszcie poważnie, prawie sucho, prawie ostro. — Dosyć, niech mnie pan zaprowadzi do mamci. Pani Zofja, jakkolwiek od czterech, czy od pięciu lat już zamężna, jednak znowu po staremu na balach bywa z mamą. Mąż jej, wybitny ekonomista, zajęty od rana do wieczora pracą naukową i nauczycielską, chętnie misję tę powierza teściowej, zwłaszcza, że sam, ile że tańczy dość li-

cho, tańczy zgoła bez przekonania. Że pozatem poważny profesor w karty zupełnie nie grywa, nie tego pije i z byle kim o byle czym rozmawiać poprostu nie umie, przepędzanie zatem długiej, zimowej nocy wśród rozbawionego a nie zabawnego bynajmniej towarzystwa było dlań naprawdę poświęceniem nielada. Nie szczędził go wszakże dla pięknej, młodej i ubóstwianej żony, póki jeszcze płonęły żywo ognie pierwszych uniesień szczęśliwego małżeństwa. Poświęcał się wtedy z entuzjazmem i godnym podziwu zaparciem się samego siebie. Skoro jednak z czasem, naturalną rzeczą kolejną, życie musiało wejść w zwykłe normy powszedniości — pracy i obowiązku — profesor rad był ogromnie, że obowiązek opieki nad tańczącą żoną może złożyć na inne, zresztą najzupełniej pod tym względem odpowiedzialne barki.

Pani sędzina i tak musiała „bywać” dla starszej córki, Koci. Zazwyczaj sam odwoził panie na te bale, lecz, pokręciwszy się ostentacyjnie po sali, natychmiast umykał chyłkiem do domu, gdzie często zasiadał jeszcze do jakiejś pilnej roboty, lub przynajmniej, kładąc się wcześniej do łóżka, zapewniał sobie konieczny do pracy jutrzejszej wypoczynek. Dziś i tej formalności, pomimo usilnych nalegań żony, spełnić nie chciał, choć to przecież doprawdy był dzień w roku wyjątkowy. Pani Zofja poprostu błagała męża jak o największą łaskę, ażeby odwiózł ich do resursy i prze-

trwał bodaj tylko te małe pół godziny — do dwunastej. Wszakże rok nowy powitać należało razem — razem wypić kieliszek szampana za pomyślność najbliższej przyszłości. Uparł się. Zapewniał tylko, że będzie pamiętał o kochanej żoneczce i punkt o dwunastej za jej zdrowie wychyli kielich wina. Pomimo tych zapewnień, pani była mocno rozdrażniona, do czego przyczyniło się także trochę przesądu niewieściego. Przywiązywała ona wiele wagi do tradycyjnych obrzędów zwyczajowych, i spędzenie nocy Sylwestrowej bez męża poczytywała za

omen złowróźbny. Chmurzyła się też i dąsała, wyjeżdżając na bal piękna pani,
skoro jednak rozbrzmiała w świetnej sali namiętna melodia walca, rozjaśniła twarz i rzekła do Janka z akcentem jakiegoś szczególniejszego podniecenia:

— Niech tam, muszę dziś szaleć, ażeby zagłuszyć w sobie przykre wrażenie,
spowodowane odmową Kotusia.

Janek znał stosunki domowe pani Zofji, ponieważ był nawet dość bliskim kuzynem męża; znał także obecny jej nastrój, ponieważ z tych samych tytułów sprawował dziś przy mamie jakoby rolę opiekuna dopełniającego. On bowiem panią sędzinę z córkami przywiózł na bal we własnej, co ma znaczyć przez siebie w remizie zamówionej, karecie.

Nagły, niespodziewany obecnie zwrot w usposobieniu tancerki poczytał za bezpośredni wynik

własnej niedyskrecji, czy arogancji i karcił się za to surowo.

— Łajdak jestem, nikczemnik, brutal, brudas!

Lubieżnym spojrzeniem uraziłem boleśnie skromność kobiety czystej, jak łąza, jak lilja, białej i niepokalanej.

Tak lżył się w duchu, kiedy prowadził pod rękę panią Zofję w najdalszy róg sali, gdzie pod ścianą na kanapce siedziała pani sędzina.

Zacna matrona, w sprawowaniu funkcji „damy kanapowej” posiada znaczną, nabytą przez długoletnią wyćwiczkę, rutynę. Prowadzała ona od lat kilkunastu po balach starszą siostrę Zofji, pannę Kocię, która jednakże, mimo doprawdy bardzo niepospolitej urody i zgoła nieprzeciętnego dowcipu, dotąd, niestety, jakoś męża znaleźć nie umiała. Dla niej to pani sędzina zdobyła cenny dar drzemania na kanapie i, dzięki temu darowi, czy lepiej nawykowi, najuciążliwsze kampanje najdłuższych nawet karnawałów znosiła bez wielkiej dla siebie przykrości. Umiała przytem drzemać tak dyskretnie i subtelnie, że nie zwracało to nigdy niczyjej uwagi. Sypiała, jak się to mówi, na jedno ucho i na jedno oko. Niepodobna jej było zaskoczyć znienacka. Skoro okazała się tego potrzeba, dostojna dama otwierała drugie oko i drugie ucho, a natychmiast zjawiał się na twarzy miły, uprzejmy uśmiech osoby wykwintnie ułożonej. I teraz, kiedy Janek sadzał obok niej swą tan-

cerkę, ocknęła się nieznacznie i już z owym niezmiennym uśmiechem pytała:

— Ach, kochany pan Jaś! Jakże się pan bawi na dzisiejszym balu?

Janek był oburzony na siebie do wściekłości. Rozszarpałby się na ćwierci, Uważał

przytem, że na równie niegłębokie pytanie można bez wielkiej krzywdy nie odpowiadać. Natomiast biedził się w myśli, jakby wynagrodzić krzywdę mimowoli wyrządzoną uczciwej kobiecie.

Tymczasem jakiś jegomość prosi panią Zofję do tańca, wnet też wspartą na jego ramieniu porwał rozkołysany rytmicznie korowód...

— Jak ślicznie dziś Zosia wygląda — bawi go rozmową pani sędzina. — Musi się dziś szalenie wszystkim chłopcom podobać. Bardzo, bardzo jej do twarzy w tej jasno-lila sukience...

Właściwie, dlaczego znowu tej matce-opiekunce tak dalece zależy na tem, ażeby się żona jego kuzyna koniecznie musiała wszystkim chłopcom podobać?

Janek wie jednak, że się podoba. Niewątpliwie, ów nowy tancerz patrzy teraz na jej wdzięki z tem uczuciem, z jakim on patrzył na nie przed chwilą. Myśl o tem wzburzyła go do głębi. Zerwała się dusza do buntu.

— Nie, do czarta! — woła. Bal, taniec, kiedy wydelkotowaną, wpółobnażoną kobietę może wziąć w ramiona pierwszy lepszy dureń... Nie, do kroć-

set, to ohyda, to najwstrętniejsza, najobrzydliwsza, rozpusta... To podłość!..

Po chwili przypływa ze swym tancerzem ona, ale nim zdążyła usiąść, porywa ją

jakiś przysadkowaty jegomość z łysiną. Jegomość mimo
łysiny rzuca się w wir
taneczny z wściekłym temperamentem ognistego źrebaka.

Wyrzuca zamazyście
nogami, bije hołupce, podskakuje...

— Panie Janie — mówi po chwili pani Zofja, która nagle
stała przed nim, jakby
z ziemi wyrosła — panie Janie — walczyka na poprawiny —
wytrząśł mnie mecenas
nieznośnie tymi swoimi staroświeckimi drygami.

Porwał ją.

— Pan tańczy, jak anioł! — mówi dalej, kiedy ruszyli w
taniec.

Dyszy ciężko ze zmęczenia, piersi jej falują w
przyśpieszonym, mocnym tempie.

— Z panem to zupełnie co innego... to taniec... to rozumiem...

Pryśł nastrój wyrzutów, wraca zachwyty.

Cudne, delikatne loczki, wijące się figlarnie za uszkiem,
musnęły go po twarzy.

Nagle na sali zaczyna się dziać coś niezwykłego. Muzyka
zcisza tony, gasną
światła. Aż kiedy się uczyniło zupełnie cicho i prawie ciemno,
rozległ się

poważny jakiś, majestatyczny głos gongu. A potem drugi,
trzeci, czwarty...

Wybiła dwunasta.

Rozbłysły światła i na salę wkroczyła służba, niosąc na tacach
perlistego
szampana.

Rzucono się do wina.

Pani Zofja z jakimś nienaturalnym pośpiechem chwyciła kieliszek, a drugi padała Jankowi.

— Niech żyje nasz walc! — zawołała. Ruchem bachantki wzniosła kieliszek w górę i wypła go duszkiem. Potem wzięła drugi.

Trąciła kieliszkiem w kieliszek Janka.

W tym momencie mecenas, panna Kocia i jakiś siwawy pan, który jej stale wieczora tego asystował, przyszli prosić panią Zofję na butelkę szampana do bufetu.

Poszła z nimi, nie troszcząc się o Janka. Zabrali jeszcze tylko po drodze mamę.

Został sam z rojem gadów jadowitych w sercu...

Po godzinie może wpada nań panna Kocia.

— Panie Janku, na miłość Boską, niech pan zaraz zatelefonuje do remizy po karete!

— Co się stało?

— Niestety, okropność!

— Mianowicie?

— Zośka się upiła!

— Co też pani mówi?

— Skandalicznie, kompromitująco, niemożliwie... Mamcia jest w rozpaczy...

— To być nie może!

— Niech pan nie rozprawia, tylko robi, jak powiedziałam. Musimy wyjeżdżać natychmiast!..

— Kareta czeka...

Pani Zofja jest rzeczywiście bardzo podniecona. Twarz jej pała, oczy świecą jarząco. Śmieje się, mówi dużo i głośno...

Panna Kocia wzięła Janka na stronę.

— Panie Janku, mój drogi, mój złocisty... My się tu bawimy tak doskonale...

Niech pan postara się wyprowadzić tę awanturnicę nieznacznie i odwiezie ją do

domu... Karete po nas z mamcią przyśle pan o szóstej.

Dała się wyprowadzić bez oporu. Wsparła się mocno na rękę młodzieńca, wszakże szła krokiem pewnym, nie zdradzającym najmniejszej chwiejności.

— Ha, ha, ha, widzi pan upiłam się...

— Ależ, pani Zofio...

— A tak, upiłam się! No to co? Mówiłam Kotusiowi, że szaleć będę i szalałam...

Ha, ha, niech wie!.. Mecenas mnie upoił... Zabawny,

drygający mecenas!.. Lubię

takich! Nudziarz! Pana mi brakowało. Tańczysz pan, jak

anioł... Ha, ha, ale

skoro każą mi iść do domu... Trudno...

W karecie odrzuciła z ramion futro, którem Janek ją otulał.

— Przeziębi się pani...

— Nie!

I temi cudnemi, obnażonemi rękami chwyciła go za głowę.

Przyciągnęła do siebie.

— Całuj!

Pierwszy romans... Romans z kobietą z towarzystwa... żoną kuzyna!...

Janek brał te rzeczy ze strony tragicznej. Za chwilę miłości
gotów był zapłacić
życiem. Rozumiał, że takie muszą być ostateczne
konsekwencje szalonej nocy
Sylwestrowej.
Miotany najsprzeczniejszemi uczuciami spać się nie położył.
Siedział na otomanie
w swoim kawalerskim mieszkaniu na szóstym piętrze. Jak
burze przewalały się
przez mózg myśli to błogie, wstrząsające rozkoszą upojnego
wspomnienia, to
ponure, niosące świadomość trzeźwej rzeczywistości.
Wzbierała w duszy bezmierna radość, szalał zachwyt, to
znowu gdzieś jakiś ptak
czarny łopotał skrzydłami i krakał złowieszczo.
To się mści, to się mści.
Usnął znużony około południa. Zbudziło go gwałtowne
dzwonienie. Portjer mieszkań
kawalerskich wzywał go do telefonu.
To pani Zofja chciała się z nim rozmówić natychmiast w
bardzo ważnej sprawie — u
siebie. Kocha, tęskni?.. a może...

Szedł przygotowany na wszelkie ewentualności.
Przywitał go mąż. Janka przebiegły zimne dreszcze.
— Zosia ma tam do ciebie jakiś interes — mówił spokojnie
profesor.
Siedziała u siebie w buduarze, pogrążona w głębokim fotelu.
Błada... cudna...
Chciał jej się rzucić do nóg, okrywać ręce pocałunkami.
Powstrzymała go gestem

surowym.

Panie Janie — zaczęła z powagą. Stała się rzecz przykra...

Upiłam się wczoraj do
nieprzyzwoitości.

— Oh, cóż znowu.

— Byłam nieprzytomna.

— Ależ bynajmniej!

— Ależ tak! Byłam nieprzytomna...

— Może troszeczkę.

— Owszem, najzupełniej, absolutnie. Nie wiem, co się ze mną
działo. Roiły mi się
rzeczy straszliwie okropne. Tak... okropne, że gdyby część
bodaj przerażającego,
ohydnego koszmaru pijackiego miała być prawdą, nie
przeżyłabym tego...

Ukazała trzymany w ręku jakiś niewielki flakonik.

— Słyszysz pan?... Umarłabym ze wstydu. Panie, do honoru
pańskiego się zwracam...

Musi mi pan powiedzieć wszystko. Wszak to pan mnie
odwoził z balu?

— Ja, pani!

— I... i między nami nic nie było?

Janek czuł jakby jakiś okropny zawrót głowy. Milczał.

— Panie, to o życie moje chodzi! Krzyk rozpaczony wyrwał mu
się z piersi.

— Nic, nic, absolutnie nic między nami nie było !

— Słowo?

— Słowo!

— Dziękuję! Wracasz mi pan życie, spokój... szczęście
domowe...

Kiedy Janek znalazł się nareszcie na schodach sam, ze
swojami myślami, miał
uczucie, że teraz on przeżywa straszliwy koszmar pijacki.
Ogarnęła go jakaś
niemoc, że oparł się plecami o ścianę.
— Do szatana! To ja musiałem być pijany, nieprzytomny w tę
szaloną noc
Sylwestrową!...

WAŻ.

— Ach, pan Terlecki?
W zdunie, który mi piece przestawiał, poznałem dawnego
stolarza...
Niegdyś, kiedy jeszcze "bawiłem się" rysunkami, mewaliśmy
z sobą częste
stosunki. Terlecki był, jeżeli nie jedynym, to stanowczo
najlepszym w mieście
specjalistą w zakresie wyprawiania płyt bukszpanowych do
drzeworytów. Pracował,
jako czeladnik w wielkim zakładzie stolarskim na Nowolipiu,
a owa specjalność
dawała mu niejako w warsztacie przywileje i niewątpliwie
pewne szczególniejsze
beneficja w zarobkach. Wszyscy ilustratorowie ówczesni
nieśli się do niego po
„drzewka”, jak w dym, bo wiadomo było, że deski przez niego
przygotowane nie

rozeschną się, nie popaczą, pod tłoczną nie rozlecą w
kawałki, więc praca
rysownika i rytownika z powodu fuszerki stolarza nie pójdzie
na marne.

Łączyła nas wtedy niejako ścisła wspólność interesów
zawodowych. Było w tym
stosunku coś jakby oddalone echo dawnych urządzeń średnio-

wiecznych. Wszakże dla tej właśnie wspólności interesów, dla
wzajemnej rzemiosł
od siebie zależności, stało się, że dajmy na to w Krakowie
przed wiekami
stolarze znaleźli się w jednym cechu i pod opieką jednego
patrona z malarzami,
snycerzami i złotnikami.

Terlecki poznał mnie również odrazu.

— A to pan już nie rysuje?

— A pan już nie jest stolarzem? Skrzywił się niechętnie i
machnął ręką.

— Hm, rozumiem — zacząłem — cóż, drzeworytnictwo
wobec rozpowszechnienia się
chemigrafji djabli wzięli z kretesem; po drzewka nikt nie
przychodzi, co?

— Et, nie to tylko — przerwał zdun, który był stolarzem —
nie to panie. Toć
przecie stolarz jestem meblowy. Urzędową robotę znam i, jak
przyjdzie co do
czego, żeby niby według rysunku masywnie zrobić, to mnie i
dziś jeszcze do czasu
wołają. Ale takiej roboty coraz rzadziej. Tandetę na patatajkę
machają, a tego

ja znowu nie chcę. Człowiek ma swój honor, choć i stolarski.
Mam ja proszę pana.
sztukę partaczyć lada jako, to już wolę zarobić w innym fachu.
Zaleciało mnie znowu echo średniowiecza. Ten Terlecki jest
stanowczo
rzemieślnikiem starej daty .
Bo pewnie. Nawet owe znane idee Ruskina, Morrisa i Burne
Jonesa, marzycieli,
którzy dążyli

do odrodzenia czy uszlachetnienia wytwórczości
rzemieślniczej, przez walkę z
tandetą maszynową, należą już dziś do przeżytków.
Industralizm nowożytny nad
planami angielskich reformatorów przeszedł do porządku
dziennego z impetem
automobilu wyścigowego, a szlachetne ich zamiary rozbiły się
fatalnie o twardą
opokę wymagań czasu.
Zresztą zdun, który był stolarzem, nie zna zapewne teorii
estetycznych panów
Ruskina, Morrisa i Burne Jonesa, stosunek zaś swój do sztuki
ukształtował
poprostu według jakichś starych przesądów i zaśniedziałych
tradycji
warsztatowych.
W każdym razie zaczęło mnie coś złośliwie podjudzać,
ażebym z tych wynurzeń
wyciągnął ogólne wnioski dla naszych specjalnie stosunków.
Przypomniało mi się

nagle, jakto na te stosunki niejednokrotnie biadał Cyprjan Norwid. Pisał on np.

z powodu Modrzejewskiej:

"Czemu ta artystka wielka dla anglików gra? nie pytam... mam przezorność nie

dogłębiać przyczyn w społeczności, gdzie nikt nigdy

uznanym, ocenionym i użytym

odpowiednio od kilkuset lat nie był".

Nie dogłębiałem i ja przyczyn, ale na wiarę słów Norwida zawyrokowałem:

— To już tak u nas zawsze...

— I, panie. Nie zawsze tak było, a dziś wszędzie tak jest — rzekł spokojnie

Terlecki.— Ludzie się wściekli, żeby się jaknajprędzej bogacić,

to już nikt pracą nijaką bawić się nie lubi. Bo to, panie,

nieprawda, że praca

wzbogaca...

— Ho, ho — śmiał się — mam kuma... ot, kanalja, musi być porządna... Kantorowym

jest, choć też z naszego fachu, stręczy do służby, albo może do czego innego,

kto mu tam na język, co nim miele, patrzy...

Mówi on mi nieraz: „Co się będziesz kum robotą zabijał, jak kto głupi... Nie

lepiej to jaki lekki chleb?... Ot ja na ten przykład wezmę raz drugi dobre

faktorne, a potem — laba przez cały tydzień, jak na karuzeli:".

Ale niedalej jak zawczoraj przychodzi jucha do mnie i

powiada: „Co się masz tem

stawianiem pieców, albo innym chamskim harowaniem
zamećzać. Orzesz, jak
nieboskie stworzenie od rana do do wieczora i co, brachu,
wyorzysz? Akurat guzik
i pętelkę. Dam kumowi takie miejsce, że ani się obejrzysz, jak
panem będziesz,
szampana se kum postawisz, albo co...
„Wiadomo mówi mi, miasto podatku nijakiego od chłopów,
co prowjant na targ
wiozą, nie bierze; tedy jeden tu kombinator umyślił podatek
taki dla siebie
zgarnąć i szuka klawych cwaniaków na poborców. Masz kum
co do stracenia, ha?
Zasadzić majchra za cholewę i... jazda. Dasz temu dziesiątkę
od woza, a co
więcej z chłopą zedrzesz — to twoje”.
— Ależ to bandytyzm — krzyknąłem — rozbój

na równej drodze, kryminał. Myślę — wołałem w oburzeniu
— że proceder podobny
nawet dla „klawych cwaniaków” zbyt bezpieczny nie jest i w
rezultacie...
— Nie o to, panie chodzi — przerwał — Nie o to chodzi.
Człowiek biedny strachu
bardzo nie zna. Ja też osobliwie bojący zgoła nie jestem, ale
sumienie mam... i
w tem bieda najgorsza.
Wyciągnąłem doń rękę.
— Powinszować panie Terlecki, powinszować, Masz pan
sumienie i honor... choć

stolarski. Do djaska, to luksus, to zbytek, na jaki nie byle pan
pozwolić sobie
może.

— Phi — rzecze — takiemu jak ja, to łatwiej o to niż
drugiemu panu choć i
najbogatszemu. Bo pewnie. Ot, mój gospodarz: klnie się
panisko na honor, na
wszystkie świętości, że u nas w suterenie wilgoci niema, a
dziecko zobaczy, jak
po ścianach woda ciurkiem leci. Ale co ma biedak robić?
Jużci, jakby chudziaczek
nie zełgał, toby mu lokale, jak rok długi, pustkami stały. A
robociarz co
straci? Inszy, panie, jak się uprze, to przez całe życie ni razu
zełgać nie
potrzebuje. Mnie tam jeszcze, chwalić Boga, stać na to, żebym
prawdą żył, choć
to człowiek ma zawsze węża, co mu jego krowę ssie.
— Jakiego znowu węża?
Uśmiechnął się, jakby do jakiegoś dawnego wspomnienia.

— Ady wąż prawdziwy, szarozieleziasty, z białawym
brzuchem, z paskami w białą i
czarną kratkę po bokach. Długi był jucha najmniej na półtora
łokcia, a jak się
tego oćpał to gruby jak dobra kielbasa wielkanocna. Zresztą u
nas tam na
Sosnowem była straszna masa węzów.., ale to długa historia...
czasu szkoda.
Zaczął przebierać kafle. Poczęstowałem go papierosem.
Usiadł więc na rozwalonym

do połowy piecu i opowiadał:

— Długa to historia i okropnie dziwna, ale prawdziwa. Nie literat ze mnie żaden, żebym miał komu w oczy świecić. Mówię święcie, jak było. Ojciec mój służył za dróżnika przy kolei. Siedzieli my na piątej wiorście od stacji, w szczerem polu. Ano, jak to u dróżnika — i krowina była i świnka jedna i druga, kur trochę i kaczek co nieco, ale żebyśmy tak kiedy do syta dojeść mogli, tego nie powiem. Dzieciaków nas kupa była okrutna, to choćby i najdojniejsza krowa dla wszystkich nie starczy. Toż i z ziemi co się wykopało kartofli, a kilka zagonków żyta zżęło, to już drugiego nie dojrzało. Na przednówku łapę musielim lizać... i ładnie. Zaśmiał się.

Ha, ha, u mego ojca tak zawsze bywało, jak i u mnie. Jak kiedy się ku prawej stronie pociągnie, to na lewej brak. Jak z tą za krótką kołdrą:

kiedy się człowiek pod brodę nakryje, to mu nogi gołe sterczą. Bo nie? Wyrobiłem się na rzemieślnika, jak się patrzy, że mnie już w mieście znali i nielada jako, a co miałem? Ciężko było z terminem, bo ojciec płacić nie płacił, a trza było wysługą i przysługą, jak módz, z biedą handlować i nieraz zęby na kołku zawiesić. Nic to. Zostałem czeladnikiem. Dobrze. Alem się zaraz

nie wiedzieć jak i kiedy ożenił. Com zarabiał — na jednego by starczyło i z omastą, ale na dwoje już się widziało przykrótko. Robiłem drzewka. Panowie malarze płacili — prawda, cóż kiedy mi bąki jeden po drugim do miski przysiadają. Ledwie zarobię półzłotka więcej, już mi to nowy baszybuzuk zjadł, jeszcze krzyczy, szelma, że mu mało. Teraz dzieciśka na swoje poszły, zarabiają, jak które może, zostaliśmy we dwoje ze starą i myślałby kto, że się po dziurki w nosie napychamy. Gdzie tam. Poptawdzie robota moja całkiem zepsiała. Nikt porządnej sztuki nie uszanuje, ale się człowiek nie leni, i gdyby tak dawniej — he, he!...

— Miał pan mówić o wężu.

— Toż właśnie siedzieliśmy, mówiłem, w szczerem polu...

— I tam była taka masa wężów?

— Gdzież tam. W całej okolicy ani jednego żywego nikt nie widział. Raz tylko podobno maszyna żmiję na plancie zarznęła.

— Więc?

— Ale że to — ciągnął pan Terlecki — w szczerem polu, ani dzieci uczyć, ani o jaki zarobek dla nich zawadzić, prosił stary w zarządzie, żeby go przenieśli. Akuratnie mieli zrobić przystanek na Sosnowem.

— Ach prawda. To tam były te węże?

— Panie! — zawołał. — Panie, żeby mi kto inny powiadał, to bym sam nie uwierzył.

Zatrzęsienie! Bywało, niekiedy wylazą na deski grzać się na słońcu, to rzekłbyś

— wystawa masarska: kiełbasy, parówki — duże, małe, maluśkie, ot takie...

Założyły se gniazdo jedno w żarnach w sionce, drugie w obórce. Ukryć nic przed

tem plugastwem nie można, bo się wszędzie gad podły wśliźnie. A okropnie to łase na mleko.

Dała raz matka Kazkowi, najmłodszemu bratu, mleka w misce. Jak to na wsi,

postawiła na ziemi, żeby dzieciak statku nie rozbił. Wchodzę ja do izby, a mój

Kaziek węża, co go chciał odjeść, wali łyżką po łbie, a tymczasem drugi się

bąkowi pod rękę przewinał i mleko z miski jak swoje chłepcze.

Chłopak w bek...

Tłukli my to, bili — nic. Ciągłe pełno. A najgorzej jednego starego nie mogli my

dostać. Taki był, jucha, przemyślny. Dopadłem go raz w obórce. Postawił mi się

sztorcem, wysunął swój rozszczepiony język, zasyczał i nimem się zmiarkował,

żeby go kijem zdzielić, już go nie było. Jakby się w ziemię zapadł.

Nic. Ale kupił ojciec drugą krowę. Graniasta była, duża, ładna — dobra krowa. W

domu uciecha, że to już nikomu do zjadku nie zbraknie.
Przytem i ojciec pensję
większą miał i mnie, choć mi dopiero na dziesiąty rok szło,
parę groszy między
ludźmi niekiedy wpadło i starsza siostra przy jednej pani
zarobek miała. Dobrze.
Ale wraca raz matka z obory: krowa mleka oddać nie chce.
Wymię, jak bania, a
mleka oddać nie oddaje. Na drugi dzień to samo.
Aż w południe stoi w obórcie Ignac (ten, który przed Kazkiem
u matki był) i, jak
to w tamtych stronach mówią, woła:
— O, o, kieli on, kieli on!
Patrzę ja, a to ogromne wężysko krowie około nogi się
owinęło i ssie, jak
dziecko. Obejrzałem się za kawałkiem patyka, a jego już
niema. Ja do ojca...
— Wiem ja, — mówi — krowa, jucha, mleka nie oddaje, bo
dla węża chowa. Czekaj —
mówi stary — taka a taka, jak ci kochanka ukatrupię, to się
namyślisz, jaka
twoja psia powinność.
Ano zasadził się ojciec z tęgim kołem jednego dnia. Nic.
Drugiego — nic.
Nareszcie trzeciego dnia węża upilnował i ubił.
— Proszę pana, — kończył Terlecki — niech pan wierzy, albo
nie wierzy. Nie
łgałem nigdy i teraz,

jako żywo, prawdę świętą powiadam. Krowa po onym gadzie
przebrzydłym ryczała,

jak po rodzonym cielęciu. Przeszedł dzień, dwa — nic. Mleka
oddać nie chce i nie
chce. Krew jej z wymienia idzie... Co robić? Sprzedali my
krowę żydom na mięso i
znowu dla nas zjadku nie stało.
Odtąd to se uważam, że u nas tak już musi zapisano. Przyjdzie
żona z targu —
powiada: mięso podrożało tyle a tyle na funcie, chleb tyle a
tyle, kortofli
dokupić się nie można... To znowu gospodarz podniesie
komorne, a podnosi,
panisko, nieledwie co kwartał, to se mówię:
„Oho, już moją krowę wąż ssie.”
— Jakież tu związek?
Podrapał się w głowę bezradnie. Patrzył chwilę przed siebie,
jakby czegoś szukał
w przestrzeni, wreszcie, jękając się, zaczął:
— Hm, bo ja wiem... Ja to tego tak akuratnie do wyrozumienia
wypowiedzieć nie
potrafię. Ale mi się tak widzi i już mi tego nikt z głowy nie
wybije...
Panie, ciągle z krzywdą dla mnie jakiś wąż moją krowę ssie, a
ona do niego,
jucha, ryczy.

WYPOCZYNEK.

Kandyd, przewróciwszy się po dziesięć razy z prawego boku na lewy i z lewego na prawy, zaczyna mieć grube wątpliwości, czy to wszystko, co dotychczas utrzymywał o dobrodziejstwach kultury, nie jest najwierutniejszym kłamstwem, czy wogóle teoria jego o ewolucyjnym doskonaleniu się form bytu nie jest głupstwem i to głupstwem szkodliwym. W gruncie rzeczy cała ta nieznośna bezsenność pochodzi z przepracowania umysłowego, co doktor Kania zdjagnozował najkategoryczniej i jako jedyny środek wskazał absolutny wypoczynek. Człowiek przepracowany fizycznie śpi, jak suseł, a wstaje potem rzeźki i jakby odrodzony do nowej, intensywnej pracy. Inaczej z pracą umysłową. Ładnie będzie wyglądał jego odpoczynek absolutny, skoro po całych nocach oka zmrużyć nie może. Wygodne łóżko w eleganckiej wilji pani Honoraty staje się dla niego torturą najwymyślniejszą. Jest, jak Regulus, któremu obcięto powieki. Oczywiście cierpi teraz za tę nienasyconą cie-

kawość intelektualisty. Cierpi przez chimerę. Boć właściwie jaki djabeł kazał mu ślepiąc dniami i nocami nad odcyfrowaniem fatalnie zachlastanych palimpsestów.

Co to kogo dziś obchodzi, że jakiś dureń z przed kilku wieków
wyskrobał tekst

innego durnia z przed wieków kilkunastu i na tem miejscu
przepisał Antyfonę.

Kandyd znalazł był w bibliotece klasztornej stary Graduał z
XIII-go wieku, na

którego kartach pergaminowych dopatrzył się śladów
dawniejszego pisma greckiego.

Od tego czasu datuje się jego choroba. Z greckiego tekstu
wydobył kawałki

wyrazów, nie wiążących się bynajmniej w zdania. Nie
wiedział też, czy ma przed

sobą egzemplarz jakiej pierwszorzędnej komedji atyckiej, czy
traktakt

filozoficzny, czy tylko domowe notatki filozofa greckiego...
dla praczki.

W każdym razie z powodu odkrycia tych kilku wyrazów
fragmentarycznych obłożył

się stosami autorów greckich i niegreckich i byłby pewnie
zatonął wśród nich

beznadziejnie, gdyby go dr. Kania nie wyciągnął prawie
gwałtem z zatechłej

atmosfery bibliotecznej.

Lekarz, odbierając Kandydowi z rąk stare księgi, odebrał mu
też veronal,

chloral, suforal, czy jak się tam nazywają wszystkie owe
środki aptekarskie,

którymi biedak walczył z trapiącą go od dłuższego czasu
bezsennością.

— Wyrzuć mi te paskudztwa za okno i jedź

na wieś — nakazywał doktor właściwym sobie, stanowczym,
nie znoszącym
najmniejszej opozycji tonem — jedź mi na wieś i odetchnij
raz przecie świeżem,
zdrowem powietrzem.

Powietrza, powietrza — powtarzał — a głównie zabaw mi się
trochę, pohulaj, łaź
po polach aż do fizycznego zmęczenia, brykaj, dokazuj, fikaj
koziołki, bo koniec
końców zamienisz się na wypełnioną kurzem bibliotecznym
purchawkę.

Zniedołęzniesz, chłopie, na urągowisko ludzkie i zanim
jeszcze trzaśniesz
ostatecznie kopytkami, będziesz już mi niezdatny na podpałkę
do pieca, ani psu
na niuch tabaki.

Kandydowi nie zależało wprawdzie na tem, ażeby być
zdatnym na podpałkę do pieca
dla doktora, lub psu na niuch tabaki, ale przeciągająca się
bezsensowność
przerażała go nie na żarty i czuł, że wpada przez nią w
ordynarną neurastenję;
dlatego zdecydował się wziąć urlop i wyjechał, lecz na złość
doktorowi, nie na
wieś głuchą i spokojną, jak radził praktyk doświadczony, lecz
do modnego
uzdrowiska w Chmielowie.

I tu przecież było dość słońca i powietrza i tu właśnie wobec
tego słońca i
powietrza przekonał się, że przepowiadane przez doktora
Kanię niedołęstwo, jest
już faktem spełnionym. Na każdym kroku odczuwał, że
oddalił się od natury i jest

jakby odurzony jej mocą.
Co prawda, na razie pod wpływem odurze-

nia tego, sypiał jako tako i, rzekłbyś, uczuł się uleczony
cudownie, kiedy nagle
zmieniło się to fatalnie.
Dnia pewnego, a ściślej pewnej nocy, przebudził go piekielny
huk nad głową.

Kandyd na równe nogi zerwał się z łóżka, dygocąc na całym
ciele. Po chwili drugi

huk podobny wstrząsnął całym jego jestestwem. Pod
wrażeniem wstrząśnienia tego,
nie mógł już zasnąć do rana.

Wstał rozdrażniony, wściekły, zdenerwowany. Od
właścicielki willi, ponętnej pani

Honoraty, dowiedział się, że pokój na poddaszu, tuż nad jego
komnatą, znalazł

lokatora, a lokatorem tym jest aktor trupy wędrownej, która na
kilka

przedstawień zjechała do Chmielowa.

— Ha, trudno.

Później, co sam już sobie z własnych postrzeżeń
wydedukował, wiedział, że

lokator ten zachowuje się u siebie w domu zgoła
bezceremonjalnie, a ów huk

okropny pochodzić musi od uderzenia butów, rzuconych na
podłogę ze znacznej

wysokości lub z niepospolitą siłą rozmachu.

Dalsza obserwacja wykazała, że jest to stałym, niezmiennym
zwyczajem sąsiada z

górkę. Kandyd przyszedł tedy do przekonania, że wobec
zwyczajów podobnych,
bardziej wskazane jest wyczekanie, aż miły jegomość,
naawanturowawszy się do
syta, rzuci nareszcie swoje ohydne buciska, niż narażać się na
gwałtowne
przebudzenie.

połączone z silnym wstrząśnieniem nerwowem, co wyłącza
stanowczo możność
powtórnego zaśnięcia.

Tak się też stało i trwa to już od dni kilkunastu.

Kandyd w oczekiwaniu powrotu sąsiada z sympatycznymi
manjerami, czuwa nieraz do
trzeciej i czwartej zrana. Już to słynny Zbyszko Dulski do
wczesnych ptaszków
nie należy. Kandyd, przewracając się z boku na bok, z szeroko
otwartymi oczyma,
przeklina kochanego sąsiada, na czem świat stoi. W
momentach czuwania tego,
wyciągany, niby na łożu Prokrusta, oddaje się swym
pesymistycznym refleksjom i
prostą drogą dąży do bezwzględnego nihilizmu filozoficznego.
— Po co mi to wszystko? — mówi z goryczą — choćbym
nawet odkrył autograf samego
Arystotelesa, cóż mi z tego? Czego mię taki pan może
nauczyć? Czyż rzeczywiście
człowiek szczęście znaleźć może w poznaniu, w dążeniu do
jakichś celów
najwyższych? Czy doprawdy nie jedyną szczęśliwością jest
zdolność

niezastanawiania się nad tem, jak wogóle nad niczem. Czyż
droga do prawdziwej,
niezaprzeczanej eudajmonji arystotelesowskiej nie prowadzi
przez...

He, he, dźwięczą mu w uszach natrętnie słowa piosenki
filareckiej:

„Ten się do mędrców liczy
Zna chemję i ma gust,
Kto pierwiastek słodyczny
Z różanych czerpie ust.”

Różane, pełne, soczyste, niby dwie dojrzałe wiśnie, usta pani
Honoraty,
niepokoją go zawsze w sposób niewysłowiony. Na widok ich,
ba, na samo
wspomnienie, odczuwa ogromny przyływ pragnień
zostania... mędrcom, a
jednocześnie porywy buntu i złości jakiejś na siebie —
nieposkromionej, głuchej
bezsilnej rozpacz, że przecież jest głupcem skończonym.
Istotnie, jest to po prostu niepojęte, ale pewne najzupełniej, że
zalotne
spojrzenia powabnej gosposi onieśmielają go do granic
niedołęstwa.
O, bo istotnie, spojrzenia te bywają nieco zalotne i jakby
prowokacyjne. Leży to
niewątpliwie w jej naturze, tak nawskroś niewieściej. Piękna
kobieta czaruje
dokoła siebie wszystkich i wszystko.

Musi. Jest to jej właściwością, przyrodzoną, czy przyrodniczą
— jak to, że
pachną fijołki.

Zapewne pani Honorata nie liczy się zbytnio z pustym
przesądem konwencjonalnym —
jest szczerą, jest sobą. Ot, normalna organizacja zdrowej,
dzielnej kobiety,
która chce żyć i żyje wszystką pełnią swoich władz fizycznych
i duchowych.

Opuszczona przez męża, który zaawanturował się gdzieś za
jakąś tancerką
kabaretową, stanęła sama do walki o byt dla siebie oraz
dziesięcioletniej
córeczki. Założyła pensjonat w Chmielo-

wie i wie, że jej się wcale nieźle, co zawdzięcza swej energii,
pracowitości,
zabiegliwości i rachunkowości, a przede wszystkim swoim
niewypowiedzianym
zaletom towarzyskim, to jest miłej łatwości w obejściu z
ludźmi. Pensjonarze
wszyscy kochają się w niej na zabój, a ona ze swej strony ma
dla każdego uśmiech
uprzejmy, wesoły żart, czasem zaś owo spojrzenie gorące a
wilgotne, spojrzenie
ostre a odurzające, którego właśnie profesor znieść spokojnie
nie umie. Miesza
się, jak żak przed surowym pedagogiem. Zapomina, jak to
mówią języka w gębie,
płoni się, drży, spuszcza oczy, jak gdyby w obawie, że piękna
pani odgadnie w

nich pragnienia, tajone w głębinach duszy.

Łobuz aktor niema podobnych skrupułów. Brutal. Jest to właśnie przewagą owego barbarzyństwa, nieokrzesańcia i pierwotności nad przerafinowaniem kulturalnym.

— Cham!

Ba, skoro się rzuci okiem wstecz, na cały obszar dziejowego kształtowania się organizmów społecznych, wszędzie występuje jeden fakt znamieny. Oto ludy, które zdobyły pewną ogładę cywilizacyjną, które wytwarzają coś takiego, co ich bytowanie ziemskie różni od istnienia zwierzęcego — ludy, które zaczynają się myć i czesać, w tej chwili tracą sprawność wojenną, ulegają

więc dzikim, nieumytym i nieuczesanym barbarzyńcom. Oto są dobrodziejstwa kultury. Przekleństwo ! Zresztą przekleństwo to prześladowuje człowieka od chwili, kiedy zachciało mu się chodzić na dwu łapach, a zwłaszcza odkąd, uzyskawszy mowę, zaczął niby to mądre doświadczenia swoje przekazywać następnym pokoleniom. To już całkowicie zwichnęło linię jego naturalnego rozwoju. Odtąd stał się litości godną igraszką przewidyń, przesądów, wierzeń. Mowa, która jakoby miała najradykałniej podnieść warunki doskonalenia się gatunku, stała się środkiem tradycyjnego gnębienia popędów naturalnych. Reszty dokonało pismo.

Przecież człowiek dzisiejszy zatracił poprostu zdolność
używania zmysłów. Oko
przeciętnego inteligenta współczesnego jest już tylko
zwykłym narzędziem do
czytania.

Profesor teraz dopiero, kiedy przypomniał sobie wiersz znany,
zobaczył naprawdę
różane usta pani Honoraty.

Niedarmo to Pietrek Kolesiak, kilkunastoletni wyrostek, a
absolutny analfabeta,
który go wiózł z kolei do Chmielowa, dworował sobie z
niezaradności pana
uczonego.

— I, pan to sobie zapiszą na karteczce co

trzeba i już, a furman musi uważać, jak się koło u woza kręci.
Wszystko zapisać i pamięć staje się niepotrzebna. Kolesiak ma
pamięć
nadmierzającą. A przytem jak ten szelma Pietrek łatwo
zasypia! Ledwo wjechali w
piach i koń cłapał się noga za nogą, chłopak już spał, jak anioł.
Tem wzbudził
dla siebie podziw największy.

Niewątpliwie sypiać musi doskonale i ta kanalja — słynny
„Zbyszko Dulski”. Chłop
ogromny, wesoły, zdrow i głupi. Kiedy chodzi po pokoju,
belki w suficie stękają
pod jego stopami, jak pod uderzeniami kafarów.

— Łajdak!

Kandyd już wbrew swej naturze, nienawidzi teraz aktora z
całej duszy. Nienawidzi

go i zazdrości mu zdrowia, snu dobrego oraz swobody, z jaką flirtuje z panią

Honoratą.

On zdobyć się na nią nie może, jak nie może pozbyć się wrażeń, które go w

bezsennem oczekiwaniu niecierpliwią i denerwują.

Słuch ma, zda się, wyostrzony w sposób zgoła

szczególniejszy. Zapewne nie umiał

odróżniać w lesie głosu ptaków, natomiast słyszy dokładnie cykanie zegarka na

stoliku, a nawet nie może pozbyć się tego cykania w uszach, od chwili kiedy

pomyślał, ażeby go nie słyszeć. Słyszenie nasze, jak widzenie, jest również

sprawą szcze-

gólniejniejszego wyboru, a dokonywa go nie wolna wola, lecz niezależny od niej

właściwy nastrój uczuciowy.

Musi słyszeć cykanie zegarka, jak najmniejszy szelest tam na górze.

Musi...

Łajdak!...

Aktor właśnie wszedł do pokoju, trzasnął drzwiami z rozmachem, aż szyby w oknach

zadźwięczały.

Przewrócił krzesło, potracił inne i zaczął zwykłą peregrynację po pokoju, waląc

w podłogę obcasami.

Profesor zacisnął pięści.

— Łajdak!

Pani Honorata przyrzekła interwencję, ale czy taki brutal,
półzwierzę, zechce
zareagować na uwagi gospodyni? Czy z drabem takim można
mówić o konieczności
przystosowania się do warunków współżycia, kosztem
poskromienia zachceń własnej
ekspansji?
Wykpi, wyszydzi...
Ach, nareszcie! Z piekielnym łoskołem huknął o podłogę but
jeden.
Za chwilę skończy się. Ucichnie wszystko i Kandyd zasnąć
będzie mógł bez obawy.
Lecz drugi but nie padał.
Cisza. Kandyd znał to. I on umiał, trzyma-

jąc za ucho, zdjęty z nogi but, zamyślić się na długą chwilę.
Ale o czym kreatura podobna może myśleć, i czy wogóle
myśleć potrafi?
Mijały kwadranse.
Profesorowi wydało się już, że ze znużenia czuwaniem uwaga
mu nie dopisała, że
niedosłyszał upadania drugiego buta.
Wyteńczył słuch. Jakież szmery wskazywały, że sąsiad jeszcze
nie usnął, owszem
zdało się, że słyszy ściszoną rozmowę, że słyszy nieuchwytne
szepty i szmery ale
but drugi nie spadał, a spaść przecież kiedyś musiał
koniecznie, nieodwołalnie.
Pod grozą tej konieczności profesor nie zasypiał. Czekał. Świt
błękitny sączył

się już przez zapuszczoną roletę. Sylwety przedmiotów zarysowały się lekko w rozrzedzonych mrokach i występowały potrosze coraz wyraźniej. Na dworze zbudzone ptaki zgiełkowym gwarem napęłniły powietrze.

Okropne!

Kiedyż nareszcie szubrawiec zdejmie ten drugi but z nogi?

Zegar wydzwonił czwartą, potem piątą... szóstą... Na

korytarzu, na górze

skrzypnęły drzwi... Pensjonat budził się do życia.

Ogarnęła go pasja, jakiej dotychczas w sobie nie podejrzewał,

on Kandyd, tak

pełen wyrozumia-

łości dla bliźnich. Nienawidził teraz aktora z całej duszy.

Bezsilna złość poprostu dusiła go za gardło. Wyskoczył z

łóżka i podciągnął

roletę. Jasny słoneczny dzień buchnął przez okno do pokoju.

Przy śniadaniu pani Honorata spytała z miłym uśmiechem:

— No, ciszej się dziś sprawował pański sąsiad. Prawda?

Kandyd zgrzytnął zębami. -- Ażeby go!.. przez całą noc oka nie zmrużyłem...

Zarumieniła się okropnie.

— Ach, a ja myślałam... zdawało mi się... no,

przypuszczałam...

Porwał się gwałtownie, nie panując nad sobą.

— Pani, pani, niech mi kto wytłumaczy, co się stało z jego drugim butem?

Pani Honorata była zmieszana.

— Bo to widzi pan... bo to właśnie prosiłam... zdjął już jeden... kiedy

weszłam...

— Pani sama?..

— No, mój Boże, pan taki nerwowy... rozdrażniony... nie sypia... Chciałam...

przez wzgląd na pana...

— Pani sama — powtarzał — pani?...

— Właśnie... i drugi but już postawił deli-

katnie, cichutko, jak można najciszej. Zaczny człowiek.

Kandyd przeszył ją wzrokiem zabójczym.

— Pani tam była? Ha!

Tego dnia jeszcze wyjechał z Chmielowa... do swoich pailmpsestów.

GOŚĆ.

— Mieliśmy właśnie zasiać do wieczery wigilijnej. .

— Wiemy, już wiemy — przerwano ze śmiechem: —

Mieliście zasiać do wigilji, ale

było was nie do pary; wtem zadźwięczały janczarki, przed ganek zajechały sanie i

wysiada z nich gość nieoczekiwany. To już po tysiąckroć znane.

Pana Macieja nie obruszył ten śmiech niewczesny. Zapatrzony przed siebie,

opowiadał, jakby dla siebie samego, jakby nie dbał o to, czy zebrani go słuchać zechcą.

— Tak to już było... i będzie: — mówił — gość tajemniczy, nieznany, nieoczekiwany, zasiada z nami do wieczerzy tradycyjnej, a potem znika gdzieś, pozostawiając za sobą legendę. Nie wiadomo, gdzie się kończy historia, a zaczyna legenda, utkana ze snów i marzeń. W naszej własnej pamięci trudno oznaczyć granicę między przeżyciami rzeczywistymi a tem, co wsiąkło w nas z opowieści, z tradycji, z legendy. Zwłaszcza doznania osobiste wczesnej młodości tak się jakoś dziwnie płaczą z całym ob-

szarem wrażeń, jakie poruszyły naszą wyobraźnię przez żywe słowo ludzi innych, że, doprawdy, trudno niekiedy posądzać kogoś o świadome kłamstwo, choćby opowiadał, jako własne przeżycie, zdarzenie, którego nie mógł być świadkiem dla tej prostej przyczyny, że się urodził dopiero w kilka lat po danem zdarzeniu.

Pamięć nasza zaczyna się wcześniej, niż życie fizyczne, bo nad kołyską dziecka szumią pogwary piastunek o ranach jeszcze niezabliźnionych, o tem, co jeszcze krwawi i boli dotkliwie.

Sam tak się często łapię na owem kłamstwie pozornem, to jest, że opowiadam wypadki, które, według wskazań metryki, zająć musiały przed mojem urodzeniem...

A jednak pamiętam je tak żywo, tak plastycznie, tak szczegółowo.

Nie wiem, czy byliśmy do pary, czy nie do pary. Nie umiałbym dziś wyliczyć osób, zasiadających wtedy do stołu. Zresztą nie o to chodziło. Postać tajemniczego gościa utkwiała mi w wyobraźni na całe życie i, wielokroć znajdę się przy wieczerzy wigilijnej w liczniejszym towarzystwie, zda mi się, że go widzę ciągle między nami.

Siedzi na miejscu poczesnem: poważny, milczący, nieodgadniony.

Kto on? Po co przyszedł?

Pamiętam — przybiegł chłopak z podwórza, wołając, że gwiazda już zabłysła.

Ruszono gwarno, ażeby, wedle zwyczaju, zasiąść do stołu jednoczę-

śnie z jej ukazaniem się na niebie. Wtem wszedł do pokoju ojciec i kazał się wstrzymać.

— Poczekajcie jeszcze, — rzekł krótko — mam przedtem pilną sprawę do załatwienia.

Wywołało to lekki pomruk niezadowolenia wśród domowników. Ciotki zwłaszcza

zaczęły dość głośno protestować przeciw opóźnieniu kolacji,
gdyż wykracza się
tem jakoby przeciw tradycji. W gruncie rzeczy chodziło im
nie tyle o tradycję,
ile o możliwie najspieszniejsze zajrzenie pod obrus, gdzie w
rozesłanem na stole
sianie spodziewały się znaleźć dla siebie cenne podarki. Paliła
je
niecierpliwość.

Trzpiotając się, przypadły obie do ojca i, chwyciwszy za ręce,
chciały go
gwałtem zatrzymać.

Ale on, zazwyczaj wesoły i chętnie poddający się kaprysom
rozbawionych
dziewcząt, tym razem dziwnie był poważny i surowy.

— Powiedz przynajmniej, jaką masz przyczynę? — nalegały,
widząc, że pustoty ich
nie skutkują .

— Mam sprawę ważną, — rzekło sucho — to powinno wam
wystarczyć.

Potem bez słowa wyszedł do kancelarii i zamknął się w niej na
klucz, jakby w
obawie, aby która z tych trzpiotowatych dziewczyn nie chciała
tam go ścigać.

Matka snadź przypuszczona była, przynajmniej

częściowo, do tajemnicy, bo ona jedna to, co zaszło, przyjęła,
jako rzecz
poniekąd oczekiwaną.

Nie znaczy bynajmniej, ażeby miała to przyjąć spokojnie.
Owszem, jakby

zaleknienie odmalowało się na jej twarzy. Wogóle przez cały ten dzień biedna kobieta zdradzała szczególniejsze zaniepokojenie. Skojarzywszy to z dziwnem, tak wyjątkowem u tego człowieka, zachowaniem się mego ojca, zaczęto snuć najprzeróżniejsze wnioski i domysły. Pani Plutowa, wzięwszy matkę swoją na stronę, próbowała ją wybadać. — Tam u Jasia w kancelarji ktoś jest? — rzuciła. Matka dała odpowiedź wymijającą. Dla wszystkich było to najwyższą niespodzianką. W tej wymijającej odpowiedzi tkwiło najwyraźniejsze potwierdzenie. Tymczasem nikt z domowników nie zauważył, ażeby ktokolwiek z obcych dnia tego przed dwór zajeżdżał. Zkądże by się ów „ktoś” mógł wziąć w kancelarji, skoro nie widziano ani jego bryczki, ani koni. Przecież z chłopem miejscowym, czy żydem, ojciec by się tak szczelnie nie zamykał. Obecność jakiejś tajemniczej osoby stawała się coraz bardziej pewnością. Ciocia Lunia, niby nie chcący, przebiegła kilkakrotnie pod drzwiami kancelarji i słyszała tem najwyraźniej rozmowę dwóch mężczyzn. W pewnym momencie ojciec przyszedł wywo-

łać matkę do sieni. Szeptali coś z sobą, a po chwili matka wyniosła tam jakieś

zawiniątko.

Tymczasem kolacja ciągle czekała. Panny, zniecierpliwione pobięły do jadalni i powyciągały z pod obrusa, przeznaczone dla siebie, prezenty. Dzieciom zapalono choinkę i rozdano zabawki. Próbowano je nakłonić do spania. Daremnie.

Znowu ojciec zjawił się w salonie. Chodził czas jakiś tam i napowrót, jakby szukał odpowiedniego słowa do zaczęcia rozmowy. Matka zbliżyła się doń i rzekła szeptem:

— Możeby dzieciom powiedzieć, że to święty Mikołaj, który im przyniósł zabawki.

— Ach, cóż za nedorzeczność!

— Więc jakże ?

— Ha, trudno, niech się zawczasu uczą trzymać język za zębami.

Potem ojciec zwrócił się do dziewcząt, do pani Plutowej i wogóle do wszystkich starszych osób, zebranych w salonie, temi słowy:

— Moi państwo, mam kogoś u siebie, kto nie życzy sobie być wam przedstawiony.

Nie mogę i nie chcę w chwili tak uroczystej, jak nasza tradycyjna wigilja, posyłać mu potraw do kancelarji, ażeby je spożywał samotnie; sądzę natomiast, że możemy, a raczej, że powinniśmy wieczerzę zjeść razem, przełamać się opłatkiem, przyczem jednak wstrzymać się od wszelkiej niewczesnej ciekawości co do osoby naszego gościa i co do roli,

jaką między nami odgrywa. Nie potrzebuję dodawać, jak
mniemam, że nie należy też
zbyttnio przechwalać się przed ludźmi, że mieliśmy dziś na
kolacji kogoś więcej,
prócz zwykłego naszego grona rodzinnego.
Po tej przemowie, jakby tylko czekając na jej koniec, wszedł
do salonu mężczyzna
wyniosły, o rysach twarzy wyrazistych, mocnych,
zdecydowanych. Malowała się w
nich bezwzględność i stanowczość.
Przemowa ojca nie była zbyt cenna. Oczywiście, jeżeliby tylko
chodziło o ukrycie
nazwiska, można było to osiągnąć przez podanie jakiegoś
nazwiska fikcyjnego, co
by zresztą nie wzbudziło nawet w nikim najmniejszych
podejrzeń. Ale go tu snadź
znano z widzenia. Pani Plutowa na widok surowej,
bezwzględnej twarzy przybyłego
aż krzyknęła z przerażenia; stary Strączkiewicz zbladł i drżał,
jak w febrze.
Gość skłonił się zebrany, poczem przeszli wszyscy do
jadalni.
Jak rzekłem, przy stole przeważnie milczał. Od czasu do czasu
zamieniał
półgłosem parę słów z ojcem lub matką, do ogólnej rozmowy
jednak nie mieszał się
wcale.
Pannom, zda się, przeszkadzała obecność przy kolacji
tajemniczego gościa.
Jego zimna, surowa powaga krępowała je sta-

nowczo w wybuchach wesołości. Próbowaly wyłamać się z pod tej przewagi, lecz daremnie. Na nieokiełzanej, trzpiotowatej ich wesołości kładł tłumiki ogólny nastrój, stanowiący jakieś głębokie wewnętrzne skupienie. Wtem gość pięknym mocnym barytonem zaintował: „Bóg się rodzi, moc truchleje”. Podtrzymywano go nie nazbyt zgodnym chórem. Ale śpiew niejako złączył serca w jeden harmonijny akord...

Czy pamiętam tę dziwnie wyrazistą twarz tajemniczego gościa, czy jest ona tylko w mojej duszy nieprawdopodobnie plastycznym odbiciem zasłyszanych od matki powieści, — powieści, kończących się zazwyczaj w wizjach sennego marzenia? Tak jest, słuchałem tych powieści, przytulony do jej piersi, a kołysany słodkim, pieściwym głosem, zasypiałem pomimo najheroicniejszych walk ze snem zwycięskim. Daremnie usiłowałem podnosić spadające na oczy powieki, daremnie starałem się otwierać je możliwie najszerszej — sen brał mię w objęcia i wtedy, zda się, słowa matki przybierały kształty konkretne, jawili mi się ludzie i rzeczy w ich przestrzennej trójwymiarowości. Widziałem ich twarze, postawy, ruchy, zadumę, słyszałem ich głos... brzęk broni, huk strzałów...

Gdzie granice marzenia i rzeczywistości?...
Pan Maciej zawiesił głos, jakby w zadumie.
Nikt się już nie śmiał. Tylko panna Ninetka zauważyła, że
przy wilji można
opowiadać rzeczy zabawniejsze.

PAN WIKTOR.

Wigilja na bruku paryskim, ach!
Pan Wiktor, leżąc w łóżku, melancholijnie poglądał w okno
hotelowe, za którym,
„chlapało," co się zowie.
Padał śnieg z deszczem, wytwarzając jakąś nudną, dziwnie
przygnębiającą szarość
atmosfery.
Z ulicy dolatywały charakterystyczne odgłosy miasta — turkot
wozów, warczenie i
porykiwania samochodów, nawoływania przekupniów.
Te ostatnie nauczył się już odróżniać. Poznawał piskliwy
dyszkant przekupki,
sprzedającej kasztany osmażane, nosowe dźwięki handlarza
starzyzny, a zwłaszcza
owe kilka taktów smutnej, minorowej melodji, jakimi drab,
oprowadzający kozę z
mlekiem, oznajmiał o swej obecności na ulicy.
Powtarzało się to z nadzwyczajną punktualnością.

Dziesiąta.

Co z sobą pocznie w dniu tak uroczystym w tym mieście,
gdzie wszystko obce,
obojętne, inne, zimne, wilgotne ?

Pan Wiktor nie obliczył się z czasem. Przypuszczał, że we
dwa tygodnie załatwi
interesy i zdąży jeszcze na święta do domu. Tymczasem
sprawy poszły innym
trybem.

Był poprostu w rozpacz. Po raz pierwszy w życiu wypadnie
mu dzień wigilijny
przepędzić samotnie.

Jegomość, jakkolwiek doczekał się blisko czterdziestki,
wachlarzowo na piersi
spadającej brody i pewnego stanowiska w społeczeństwie, był
bowiem adwokatem
przysięgłym, posiadającym, dzięki stosunkom rodzinnym,
wcale rozległą praktykę,
pozostał, jak się to mówi, „maminym synkiem”.

Tak mu się jakoś szczęśliwie układało, że mógł skończyć
gimnazjum, uniwersytet i
wreszcie stanąć do pracy, nie wydalając się ani na rok jeden z
Warszawy. Tym
sposobem nie rozłączał się nigdy na dłużej z matką, u której
miał zawsze ciepły
kącik i smaczny kąsek zapewnione. Coprawda od czasu, jak
założył własną
kancelaryę, wyprowadził się z domu rodzicielskiego, ale nie
tracił z nim

łączności, owszem w całej pełni korzystał z dobrodziejstw rodzinnego ogniska.
Przedewszystkim zaś stołował się u matki, więc oczywiście też u niej zawsze spożywał tradycyjną wieczerzę wigilijną.
Zacna kobieta nie zapomniała o jedynaku na obczyźnie.
Właśnie przyniesiono list, skropiony

zami tęsknoty, pełen życzeń, uścisków, serdeczności.
Z listu wypadł kawałek opłatka.
Pocziwe matczysko.
Okoliczność ta jeszcze bardziej podniosła napięcie żalości.
Byłby płakał, gdyby się nie wstydził swej wspaniałej brody; byłby natychmiast siadł do pociągu i leciał do domu, gdyby wiedział, że jeszcze zdąży tam na wieczerzę.
Niestety, pozostanie sam w tym olbrzymim, obcym Paryżu!
Coprawda, poznał tu wielu rodaków, ale nie zbliżył się do nich na tyle, ażeby mógł zaprosić się do kogoś na kolację. Już tam, w kraju, przestrzegano go, że rodaków na obczyźnie unikać należy, jak ognia. Unikał też ich skrupulatnie, zwłaszcza, że zaraz na wstępie "wpadł" na całe pięć franków.
Nie chodziło mu już o pieniądze, ale o zasadę.
Siedział sobie w Café de la Régence z jakimś polskim dziennikiem w ręku, kiedy nagle...

Nie, doprawdy, nie wie kiedy i jakim sposobem. Zaskoczony
zniechęca, nie umiał
się wymówić. Dał pięć franków, ale czuje, że uczynił to
wbrew najgłębszym
przekonaniom.
Stało się. Unikał jednak odtąd Cafe de la Régence i wogóle
wszystkich miejsc,
gdzie mógł zastać Polaków.

Zresztą przyznać trzeba, że istotnie wszędzie groziło mu
podobne
niebezpieczeństwo, a wiązało się ono poniekąd fatalistycznie z
powierzchnością
mecenasa. Rzeczywiście, jego wspaniałe futro fokowe i
bogata czapka od garnituru
imponowała nietylko głodomorom z kolonji, ale właśnie
rodowici paryżanie z
podziwem i szacunkiem oglądali się za panem, który posiada
tak niezwykłą w tym
mieście „pelisse”.
Zjednało mu to nawet opinię d'un boyard russe, czego on nie
sprostowywał, bo
choć hojność mecenasa nie była w żadnym stosunku do jego
bojarskiego wyglądu,
ale dawało mu to pewne przywileje w kawiarniach i
restauracjach.
Najboleśniej ową dysharmonję wyglądu z przyrodzoną
indywidualnością pana Wiktora
odczuła pewna piękna midinetka, która, zachwycona
wspaniałą brodą i wspaniałą

„pelisse'ą" mniemanego bojara, obdarzyła go tak
powłóczystym i tak wymownym
spojrzeniem, że zrozumiał je odrazu istotniej i dokładniej, niż
później cały
niekończący się bavardage rozkosznej dziewczyny, ile że
akcent rodowitej
paryżanki był mocno różny od pronuncjacji Francuzów
nadwiślańskich.
Biedactwo tem srożej uczuło się zawiedzione w swych
obliczeniach, że serce
naiwnej dziewczyny do przystojnego mężczyzny przyłgnęło
nagle i niespodziewanie
bez wszelkich, a raczej wbrew zgoła wszelkim rozsądnym
obliczeniom. Pan Wiktor

mógłby mieć nader miłą towarzyszkę na dzień ten i następne,
gdyby jego serce —
serce przechodnia, równie było skłonne do trwalszych
uniesień.
Mademoiselle Tinette układała już nawet plany wspólnego
przepędzenia wieczoru na
Reveillon w pewnej kawiarni, gdzie o północy zaczynają się
tańce i można się
bawić wesoło do rana, ale przezorny mecenas,
wywnioskowawszy, że taka całonocna
zabawa mogłaby pociągnąć za sobą koszty zbyt poważne,
wymówił się od tego
„Reveillonu", który zresztą swoim charakterem egzotycznym
nie odpowiadał ani
jego upodobaniom, ani przyzwyczajeniom.

Teraz żałował swego postanowienia. Myśl o pozostaniu na wieczór bez wszelkiego towarzystwa przerażała go, jak prawdziwa klęska. Za nic w świecie. Raczej zaproszę się do jakiego poczciwego robotnika na śledzia i talerz zupy grzybowej, niż miałbym sam jeść w restauracji zwykły obiad, jak codziennie. Zapragnął zobaczyć kogoś z rodaków. Postanowił pójść do Café de la Régence, choćby go to miało kosztować drugie pięć franków. Ubrał się pośpiesznie. Zaledwie w swoim bajecznym futrze znalazł się na ulicy, spotkał się oko w oko z jednym z młodych prawników warszawskich. Chłopiec, zaplątawszy się podobno w jakieś

roboty polityczne, znikł przed kilku laty z horyzontu warszawskiego.

Pan Wiktor otworzył ramiona.

— Kogo ja widzę, co za miła niespodzianka, jakież szczególne spotkanie!

Tamten uścisnął mu rękę.

— Hm, niema w tem ani niespodzianki, ani nic szczególnego.

— Wszelako...

— Ależ upewniam pana. Zawsze trzeba się wszystkiego spodziewać w Paryżu.

— Jednakże was...

— Ja mieszkam tu od lat pięciu.

— Ach! aż tyle! Na obczyźnie! Jakże sobie radzicie?

— Jak mogę.

— A jednak, to musi być przykre... A zwłaszcza... zwłaszcza, jeżeli przyjdzie dzień uroczysty, jak dziś — mówił rzewnie.

— Jakież to dzień?

— No wigilja Bożego Narodzenia.

— Ach!

— Prawda, wy tu, jako radykali...

— Cóż?...

— Zerwaliście z przesądami... tradycjami.

— Bynajmniej. Obchodzimy wigilje zazwyczaj bardzo uroczycie: Wesoło, serdecznie i w kupie.

— Czyż naprawdę?

— Ależ tak. Dziś jestem zaproszony do Lachów — będzie tam przynajmniej połowa naszej kolonji.

— Ja zostałem sam, jak palec — rzekł sentymentalnie pan Wiktor.

— W takim razie wal pan ze mną.

— Kiedy nie mam przyjemności znać tych państwa.

— Nic nie szkodzi.

— To ludzie familijni?

— Pochlebiam sobie — mają już dwoje dzieci.

— Czy wypada?

— Co, mieć dwoje dzieci?

— Nie! Iść tam bez zaproszenia?

— Nie wypada.

— A zatem?

— Każę pana zaprosić.

Wziął go pod rękę i zaprowadził do kawiarni na bulwarze.

Siedziało tam grono ludzi przeważnie młodych,
rozmawiających po polsku.

Po ceremonji szczegółowych rekomendacji zwrócił się do
jednego z obecnych.

— Słuchajno, Władek! Ten pan znalazł się niespodziewanie
na obczyźnie bez
ciepiełka rodzinnego. Sądzę, że będziesz sobie uważał za miły
obowiązek zaprosić
go do siebie na wigilję.

— Ależ, naturalnie, naturalnie — porwał się tamten — proszę
najgoręcej w swoim
imieniu i w imieniu żony!

Pan Wiktor robił jeszcze ceremonje, ale już najzupełniej tylko
formalnie. W

gruncie rzeczy rad był z tego zaproszenia niewymownie.

Skłonił efektownie głowę

i zapewnił, że na oznaczoną godzinę stawić się nie omieszka.

Przed wyjściem

jednak z kawiarni odwołał jeszcze młodego kolegę na parę
słów poufnej rozmowy.

— Co za jedni są ci państwo?

— Ba, on wybitny poeta, a ona wybitna artystka-malarka.

— A reszta towarzystwa?

— Elita. Zaręczam panu, elita! wszystko, co Polska ma
najlepszego pod względem
umysłu i serca! Śmietanka towarzystwa naszego... bez
zastrzeżeń.

Pan Wiktor był tem, co słyszał, zachwycony. Zachwyt ten
niebawem jednak miał

ustąpić miejsca zgoła odmiennym uczuciom.

Kiedy ubrany solennie — we fraku i białym krawacie, stanął wreszcie pod oznaczonym adresem, długo myślał, czy nie stał się ofiarą mistyfikacji. Wśród jakichś drewnianych szop, czy komórek nie mógł odgadnąć apartamentu, gdzieby się odbyło przyjęcie. Ale na drzwiach oszklonych jednej takiej szopy przy blasku zapalki odnalazł bilet wizytowy z nazwiskiem pana i pani Lachów.

Nie było wątpliwości. Pchnął te drzwi. Znalazł się w absolutnej ciemnicy. Wyciągnął ręce. Zmacał przed sobą ciężkie draperje, które jednak pchnięte silniej, rozstąpiły się, ukazując owej szopy wnętrze, oświetlone w tej chwili w sposób bardzo niedostateczny. Na środku na ziemi stała niewielka lampa naftowa, której światło rzucało na boki wyolbrzymione, fantastycznie cienie różnych przedmiotów. Nagle, na przeciwległej od wejścia ścianie dźwignął się cień większy od innych — cień postaci ludzkiej, uderzający głową aż o wiązanie dachowe. Powstała z ziemi ciemna sylweta kobiety.

— Kto tam?

— Czy zastałem państwa Lachów?

— Jestem Nasturcja Lachowa! — odparła sylweta.

Pan Wiktor zeszedł po kilku stopniach do poziomu, na jakim stała ona. Twarz jej,

oświetlona od dołu, łamała się w kształtach; widział jednak, że jest piękna.

— Jestem Wiktor X., adwokat z Warszawy. Małżonek szanownej pani zaprosił mnie łaskawie na dzisiejszy wieczór!

— Ach, on? — rzuciła niedbale.

— Więc nie zastałem męża pani?

— Ach, panie! Ktoby się z nim liczył!

— Jak to rozumieć?

Pan Wiktor chciał już wycofać się z niemiłej sytuacji, ale pani zatrzymała go uprzejmie.

— Niech pan zaczeka! Bardzo proszę!

— Więc nadejdzie?

— Jużci, kiedyś nadejdzie. Ale to wszystko jedno. Pomóż mi pan tymczasem w piecu napalić, bo pomarzniecie w tej psiarni. Właśnie już się miały węgle zająć, kiedy mi pan swoim wejściem wszystko popsuł... wiórki pogasły. Uklękła przed wielkim żelaznym piecem i, zapaliwszy smolną drzągę, wrzuciła do jego wnętrza.

Wiktor zdjął futro.

Kiedy go ujrzała we fraku, zaczęła się śmiać serdecznie.

— A to się pan do nas wybrał, jak na bal do Elizeum! Niech pan już da pokój z paleniem w piecu.

— Czuję, że się wybrałem nie w porę.

— Ależ owszem... Zaraz tu się zaczną schodzić nasi przyjaciele. Zapal pan tę oto

wielką lampę na stole!

Wypełnił rozkaz. Przy blasku lampy rozpoznał, że są w pracowni malarskiej. Z prawej jej strony schody drewniane prowadziły na galerję, a z niej do niskiego pokoju, oświetlonego różową lamplą. Tam prawdopodobnie spoczywało owych dwoje dzieci państwa Lachów.

Ona tymczasem napaliła szczęśliwie w piecu, który też zaczął groźnie huczeć.

— No teraz muszę się umyć! — rzekła, pokakazując mu całkiem czarne od węgla rączki. — Wybacz pan...

Wbiegła na galerję i znikła za jakimiś małemi dzwiczkami.

Został sam, zaskoczony niespodziewanie tem, co widział.

W tej chwili zaczęli wpadać pojedynczo i grupami mężczyźni i kobiety. Byli

wszyscy młodzi, rozbawieni, roześmiani, rozdokazywani.

Rozbłysło więcej światła.

Rzucili się do ustawiania stołów „w podkowę”. A kiedy stołów zabrakło,

improvizowano je z pak, blejtramów, rajsbretów. Wnet owe improvizowane stoły

przykryto obrusami, a na obrusach zjawiły się półmiski z potrawami.

Niestety, potrawy te okropnie dalekie były od menu naszej tradycyjnej wigilji:

marynaty, zimne mięsiwa, owoce, ciasta.

Zeszła z galerji pani Lachowa, przybrana w fantastyczny, pomarańczowy chiton

grecki.

Siadano do stołu... na czym kto mógł, bo nie dla wszystkich krzeseł starczyło.

Pan Wiktor był trochę nieswój — sztywny, zimny, może zgorszony. Pomimo woli, a stanowczo wbrew zasadzie, porywała go jednak powszech-

na wesołość, radość, swoboda i wino, które krążyło w szklankach bardzo różnego autoramentu.

Po trochu rozkrochmalił się zupełnie. Pokonała go młodość zasadniczo.

Wtem ukazał się na schodach przed kotarą sam gościnnie gospodarz.

Pan Lach był podniecony.

— Narodzie — zawołał — klęska! Mamałyga siedzi u

Payarda — trzeba go wykupić.

— Co się stało?

— Ba, diabli wiedzieli.. Zachciało się nam szyku. Poszliśmy na rybkę do

eleganckiej knajpy... i zabrakło dwóch franiów do rachunku.

Zostawiłem Mamałagę,

jako zakładnika, a sam łapię taksometr i szukam po mieście forsy. Psiakość, z

dziesięć kilometrów upaliłem po próżnicy. Narodzie — wołał

— ludwik... jeden

marny ludwik uratuje jeszcze honor. Później trzeba będzie więcej. Kto mi da

ludwika?

— Ależ służę — poskoczył z niesłychaną uprzejmością pan Wiktor. — Może więcej?

— Wystarczy.

Pan Lach chwycił monetę i wybiegł, jak szalony. Pan Wiktor swoją zasadniczą

przemianą był jakby zachwycony. Szalał.

Wrócił do domu nad ranem i usnął rozanielony. Zbudził się jednak niebawem z

uczuciem niewypowiedzianego zdenerwowania. Straszna zmora siadła na piersiach i

wpiła w nie drapieżne pazu-

ry. Wściekły na siebie przewracał się z boku na bok.

— Psiakość, przecież tych dwudziestu franków człowiek już oglądać nie będzie.

Ha, różne bywają zmory.